EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 czerwca 1937 r. Rok IV, Nr. 12 (91)

Treść numeru:

U ZATRUTYCH ŹRÓDEŁ

Są określenia prawdziwe, dobyte z samego wnętrza życia i odtwarzające jasno całą treść rzeczy. Takie określenie odnoszące się do endecji, obarczonej klątwą własnych dziejów, dał w swoim czasie Stanisław Brzozowski w słowach: ‚Stronnictwo Chłopskiej Krzywdy i Narodowej Hańby". Ta pieczęć herbowa endecji, znacząca każde jej wystąpienie na widowni życia polskiego w okresie najsroższego obcego ucisku, sporządzona była dla piętnowania jej niewolniczego i wstecznego ducha w pierwszych latach naszego stulecia i jeszcze nie obejmowała jej późniejszej rozkładowej działalności. Niesławna ta nazwa przyjęła się w kraju jeszcze na lat kilka przed dobrowolnym wysługiwaniem się endecji najezdniczemu rządowi, jeszcze przed złamaniem z jej rozkazu strejku szkolnego, podjętego w obronie mowy polskiej, jeszcze przed zaszczepieniem jadu moskalofilstwa, a także jeszcze przed fazą najniecniejszego bezczeszczenia wszystkiego, co było żywe i twórcze w Polsce, a rwało się całą potęgą swej duszy ku wyzwoleniu i niepodległości.

Jakim że wobec tego wieńcem żrących słów otoczyćby trzeba było całą późniejszą treść roboty endecji po 1905 r. i w czasie od 1918 r. aż do dni dzisiejszych? Roboty tych samych przecież ludzi, o których z pogardą mówił Józef Katerla (Żeromski), iż chodzili do katów narodu polskiego „po zezwolenie tłumienia rewolucji, chełpili się publicznie, że przelewali krew bratnią i zapowiadali wojnę domową". Czyż słowa te płynące z pod pióra najczujniejszego strażnika narodowego sumienia i odnoszące się do endeckich upiorów polskiego życia 1906 roku, utraciły dziś cośkolwiek z swej straszliwej wymowy? Czyż nie dają się one w pełni zastosować zarówno do rzeczywistości, bezpośrednio poprzedzającej zbrojną walkę o niepodległość, jak i do późniejszej, w odbudowanym państwie polskim?

Z historycznych faktów wyprowadzona genealogja endecji odsłania jej ducha. W czasie niewoli zohydzała walkę o niepodległość, przedstawiając ją bądź za ideę „żydowsko - masońską", bądź ogłaszając ku wygodzie carskiej Rosji za dzieło austriackiej prowokacji, prowadzone z natchnienia i pod kierownictwem szpiega, pułkownika Redla. W świeżo wydanym III tomie Pism zbiorowych Józefa Piłsudskiego znajduje się właśnie dokument, który świadczy, że jeszcze w 1913 roku, t. j. w czasie najżmudniejszego szkolenia kadr tworzących się Legionów i przybierania na sile ruchu niepodległościowego, — endecja próbowała go zbezcześcić w cyklu artykułów, umieszczonych w ‚Przeglądzie

Narodowym". W odpowiedzi na te napaści, Józef Piłsudski zamieścił w socjalistycznym krakowskim „Naprzodzie" obszerną odpowiedź, w której między innymi znajdują się takie stwierdzenia:

„Kluczem, rozwiązującym wszystkie zagadki ruchu niepodległościowego i organizacji strzeleckich, jest nic co innego, jak znana afera szpiegowska osławionego Redla. W Polsce bowiem, gdzie istnieje taki śliczny okaz „rdzenia życia narodowego", jakim jest p. Balicki i Dmowski, nie może być mowy o ruchu powstańczym i niepodległościowym i, naturalnie, dla wyjaśnienia tak potwornego zjawiska w życiu ujarzmionego narodu polskiego trzeba sięgnąć przede wszystkim do obcych narodów, a jeszcze lepiej brudnych i wstrętnych źródeł. Tylko bowiem z takiego źródła płynąć może tak ohydny prąd, jak wywalczenie niepodległości Polski"... „Niepodobna nie zapytać siebie „cui bono" skonstruował p. Balicki niecne oszczerstwo, dodając do różnych plotek i gawęd swoje własne łgarstwa"...

Cóż! Możnaby powiedzieć: słowo — to dźwięk pusty, omylny znak mowy ludzkiej, ginący w przestrzeni. Tak, jeżeli, jak w tym wypadku, nie poprzedziło i nie uwarunkowało czynów, które zaledwie w rok i dwa po tych próbach shańbienia niepodległościowego polskiego ruchu nie nabrały swojej historycznej wymowy w brataniu się z kozactwem na ulicach Warszawy i w hołdowniczym składaniu złotej szabli w imieniu narodu polskiego u stóp carskiego generała w murach podbitego Lwowa.

Cóż się zmieniło od tych dni sromotnych? Czy światło odzyskanej niepodległości pobudziło do twórczej pracy to stężałe serce mroku? Czy z chwilą odwrócenia się nowej karty dziejów endecja wyrzekła się swej poprzedniej, ponurej roli, swych nałogów, instynktów, motywów działania?

Z działania nienawiści i zemsty, będących treścią psychiczną endecji i warunkiem jej istnienia, wyłonił się obóz niewiadomszczyzny, obóz gloryfikacji morderstwa. Któż, patrząc na podeptanie prawa moralnego, miał wątpliwości, że pochwała jednej zbrodni wyzwala zbrodnie inne, że staje się pierwszym ogniwem w łańcuchu aktów bezprawia i zdziczenia? Po Niewiadomskim przyszedł Doboszyński. Apoteoza zabójstwa prezydenta Rzeczypospolitej przygotowała grunt dla najazdu zbrojnego przeciw innym organom Rzeczypospolitej. Cóż z tego, że ślepy miecz zbrodni został unieszkodliwiony, kiedy samo źródło inspiracji, kiedy ręka i mózg ośrodka dyspozycji zachowują siłę i możność działania. Po Myślenicach przyszły najazdy na Wszechnice, hańbiąc przybytki duchowej i umysłowej kultury polskiej, po tym znów pogrom żydowski w Brześciu, poprzedzony serią pogromów pomniejszych. Wreszcie zbrodnie niektórych odłamów O. N. R., bomby w Związku Nauczycielstwa Polskiego, afera kryminalna w organie „tężyzny narodowej", dzienniku „Jutro".

Moralność endecji i odłamów, które wychowała w atmosferze niewiadomszczyzny, występuje tutaj w szczególnym świetle. Odłamy te poddały się wyraźnie wpływom hitlerowskiej ideologii i przejęły w ostatnich czasach sposoby i metody wcielania jej w życie przy pomocy pałki, bomby i noża. Kryminał, który wybuchł w „Jutrze" polega nie tylko na tym, że pismo to wydawane było za defraudowane pieniądze i przy pomocy innych sztuczek kryminalnego charakteru, ale również na tym, że prawą ręką szefa administracji tego organu O. N. R. był osobnik, który w Berlinie pod opiekuńczymi skrzydłami hitleryzmu wydawał biuletyny prasowe w celach mocno niewyraźnych i używany był przez hitlerowskie władze partyjne do szczególnych poruczeń. Fakty te są niezmiernie ważne i konieczne dla zrozumienia genezy i treści, źródeł i inspiracji najbardziej wrzaskliwych i napastniczych odłamów t. zw. obozu narodowego w ostatnich czasach. Domniemania, że w anarchizowaniu i barbaryzowaniu życia polskiego, w osłabianiu spoistości Rzeczypospolitej i w walkach narodowościowych, tkwić muszą także obce ręce, zdają się być uzasadnione.

Tak mści się brak idei twórczych, wybiegających w przyszłość, mści się wieloletnia postawa endecji, która jako uosobienie wstecznictwa i mroku, szła na lep reakcyjnych obcych idei i interesów, widząc tam oparcie dla swego istnienia.

Dąbrowska i Morstinowa -

dwie myśli na rozdrożu

Maria Dąbrowska, jako gorąca patriotka, dostrzegająca złowrogie ofiary na ciele ukochanego kraju, odwołała się do całego społeczeństwa o ratowanie Polski. Chcąc, aby Polska dzisiejsza uniknęła losu dawnej Rzeczypospolitej, zebrała niesławne myśli i czyny szlachty, podając je jako ostrzeżenie do ogólnej wiadomości. Uczyniła to nie tylko bez nienawiści, ale z tak wielką wyrozumiałością i zaufaniem, że zwróciła się o zrozumienie i ratunek dla Polski także do spadkobierców niesławnego „wczoraj"... do ziemian.

W uczuciowości swojej, patriotyzmie i uczciwości Dąbrowska zapragnęła zapomnieć o Lemańskiego bajce, w której napadnięty wędrowiec na klęczkach próżno błagał wilka, aby mu darował życie. W odpowiedzi na swe wspaniałomyślne zaklęcia usłyszała z ust ziemian wiele „przyjemnych" epitetów z gatunku tych, jakie znamy o nieproszonym nosie, który wtrąca się w nieswoje rzeczy. Pouczono Dąbrowską dosadnie, aby się wyzbyła mrzonek i sentymentów tam, gdzie chodzi o ziemiańskie interesy, zwłaszcza że się na tym nie rozumie.

Najkapitalniejszą a niezmiernie znamienną i — rzecz można — typową dla całej klasy ziemiańskiej odpowiedź dała Dąbrowskiej p. Starowiejska-Morstinowa w Nr. 21 „Pionu", postawiwszy tezę, że Dąbrowska w swej rozprawie sama stanęła na... rozdrożu. Dziwnie „przeoczyła" p. Morstinowa, że i ona również stanęła na... rozdrożu, a mianowicie w imię interesów ziemiańskich ustawiła całą Polskę na rozdrożu. Na zarzut Dąbrowskiej, że szlachta nawet w okresie upadku Polski nie umiała się zdobyć na patriotyczne wyrzeczenie się ziemi na rzecz chłopów i nie umie się zdobyć na to obecnie, Morstinowa odpowiada:

Cóż w tym dziwnego? Tak nigdzie na świecie nie było, aby syty tłum zdobywał się na tego rodzaju ofiarny patriotyzm, iżby oddał swoje dobro na rzecz

innego, głodnego tłumu. Wreszcie nędzy wsi rozdaniem ziemi dworskiej się nie zlikwiduje. A patriotyzm chłopski w masie może być wątpliwy, w takim razie poco niszczyć rzeczywistych patriotów (t. j. ziemian) na rzecz niepewnych?

Pełnej syntezy tego rozumowania domyśleć się nie trudno. Brzmi ona jak następuje: sytuacja Polski jest trudna. Kilkadziesiąt tysięcy ziemiaństwa, to rzeczywiście siła zbyt szczupła dla obrony kraju. No, ale co zrobić? Wyjścia nie ma. Niszczyć szlacheckiego stanu posiadania nie wolno, bo chłopu ufać nie można. Więc niech pozostanie jak jest.

Otóż i owo *rozdroże* p. Morstinowej. Stanąwszy nad przepaścią, chce się łudzić, że przynajmniej do końca swego życia ze swoją klasą się ostoi.

Po tak dokładnym ujęciu idei ziemiaństwa, pozostaje nam zgodzić się z Morstinową, że Dąbrowska stanęła na... rozdrożu. Ale według nas zbłądziła na rozdroże dlatego, że mimo tak znakomitych przykładów, jakie dała w swej książce o przewrotności szlachty, jeszcze sobie tworzyła w stosunku do ziemian złudzenia. A przecież jest rzeczą naturalną, i trzeźwiejsza Morstinowa tutaj ma rację, że tłum bogatych nigdzie nie ustąpił dobrowolnie, choćby i pod grozą utraty niepodległości kraju. A to świadczy o kształtowaniu się w tym tłumie specjalnej psychologii, nie zawsze zgodnej z interesami państwa i całego narodu. To też my z góry rezygnujemy z żądania od obszarników dobrowolnej ofiary. Nie wierzyliśmy i nie wierzymy w to, że właśnie dziś w tej warstwie interes niepodległości przeważyć mógłby interesy osobiste i klasowe. Natomiast twierdzimy, że interes warstwy obszarniczej nieubłaganie pcha Polskę całą ku ruinie.

W Nr. 11 „Epoki" twierdziliśmy, że w Polsce współczesnej panuje psychologia szlachetczyzny. To znaczy — psychologia, która ongi po przez stanowy swój interes zwęziła państwo polskie od skali mocarstwowej do zera. ***Metoda tej psychologii polegała na tępieniu żywych sił narodu.*** Trzeba stwierdzić, że szlachta polska posiadała wyjątkowo dużo stanowego realizmu. Zdobywszy wpływ na państwo w okresie Jagiellonów, — jako świeża i żywa siła — szlachta dała państwu duży rozmach. Lecz trwało to póty, póki wystarczyło żywotnych sił w tym tłumie, który z kolei pilnie strzegł, aby nie wyrosła obok niego jakaś nowa siła. Ten głęboko zakorzeniony realizm kastowy, był więc równocześnie kierunkiem antypaństwowym. Pilnując tylko swego interesu, nie dopuszczono do rozwoju miast. Oprócz kościelnej, nie rozwijała się w późniejszej Rzeczypospolitej szlacheckiej ani literatura, ani sztuka. Pozwolimy sobie zacytować choćby jeden przykład tępienia kultury i tłumienia mieszczaństwa przez magnata. W broszurce p. t. „Zaranie Malarstwa Polskiego" wydanej w Krakowie przed laty, Tadeusz Jaroszyński cytuje za d-rem Petrycym, pisarzem XVII wieku, że: „J. P. Marszałek Wolski miasteczko Rabsztyn odnowił, ciosami, obrazami, słupami ozdobił". Petrycego przeraża to, gdyż obawia się, że: „objaw ten może się zbytnio rozszerzyć, więc natychmiast nagania zbytek, jaki się wkrada między mieszczaństwo". I oto przypomina z naciskiem, że mieszczaninowi nie wolno było zbudować ozdobniejszego domu, nawet bramy i parkanu, ani też okazalej się ubrać.

Tamże znajdujemy dane o przedśmiertnym rozporządzeniu Marszałka Wolskiego. Wolski poleca: „Obrazy ad libidinem i do grzechu pobudzające, co ich jeszcze w zamku krzepickim się znajdzie, wszystkie spalić, a te, co na murze w mojej izdebce gdziem sypiał, i komnatce nago są malowane, proszę was niech malarz, który to potrafi sukienki jakiekolwiek wymaluje a inkonestates niech pokryje".

Jak widzimy, wtajemniczony polski wyznawca muz nawet to, co sam poznał, czym się w swojej sypialnej izdebce napawał, każe zniszczyć.

Obojętne, jak to nazwiemy, potępimy, czy zechcemy usprawiedliwić. Fakt upadku dawnej Rzeczypospolitej świadczy, że takimi drogami „oświecenia" szliśmy do końca 18-go wieku i — niestety! — poza ten wiek. I tu nie wytrzymują krytyki oskarżenia niektórych historyków imputujące Lubeckiemu niechęć, czy nawet zdradzanie powstania, a Chłopickiemu i Skrzyneckiemu chwiejność. Wszak walkę z najeźdźcą można było wygrać jedynie pod warunkiem podjęcia jej przez cały naród. Ale gdzież był polski naród? Lubecki — jak wiemy — próbował być spóźnionym reformatorem mieszczaństwa, które jedynie mogłoby porwać chłopów przeciw warchołowi szlacheckiemu i obaliwszy najpierw tłum szlachecki, wtedy z kolei uderzyć na zaborcę. Lecz w chwili powstania, oprócz szlachty, mającej dużo animuszu wojennego, nie istniała w Polsce żadna inna siła. Oszukiwany i sponiewierany chłop, gdyby go nawet wołano, nie poszedłby ginąć za szlachtę, a mieszczaństwa nie było. To, co było, było to zahukane i uległe kołtuństwo. Mochnacki miał tylko w sobie zapał ognia i łudził się chwilami, że i gnojówkę może się uda podpalić. Nic dziwnego, że często z tych złudzeń opadał.

Ale wiemy, że walkę o nową Polskę podjął człowiek „nieznany" — robotnik, nie mający w Polsce żadnego majątku, oprócz rąk do pracy. Powoli zaczął się przyłączać do tej walki chłop. Szlachecki tłum darzył ich zato mściwą nienawiścią. Zacytujemy tu znamienny fakt: gdy wiosną roku 1918-go wrócił z carskiej zsyłki do kraju i odrazu stanął do pracy niepodległościowej jeden z działaczy chłopskich, dwaj jego sąsiedzi, ziemianie pospołu z miejscowym proboszczem uradzili oddać go w ręce niemieckich żandarmów. Sprawa zawcześnie wyszła na jaw. Tenże chłop udaremnił ziemianom wysłanie antypolskiej petycji, „aby Niemcy w Polsce zostali póty, póki się kraj nie uspokoi". Pomyśleć: póki się nie uspokoi! Kto? Oczywiście postępowy inteligent, polski chłop z „Zarania", P. O. W. i robotnik z P. P. S. Gdy wreszcie wbrew ziemiaństwu wypędzono Niemców, pewnego dnia fornale przywiedli swego pana na powróśle do tegoż działacza chłopa, a ten polecił fornalom dziedzica puścić. „Bo w Polsce będą prawa równe dla wszystkich". Lecz oto w kilka dni potem i ów dziedzic i jego synowie oraz okoliczni ziemianie, tudzież podburzone przez nich kołtuństwo mieszczańskie grzmieli dookoła, że chłop ów działa za „żydowskie pieniądze". Tak to, jak widzimy, bywało przedwczoraj, wczoraj i tak jest dziś.

W niepodległej Polsce masy chłopskie nie znalazły ani należytej opieki, ani zrozumienia. Inteligencja mieszczańska i postępowa z dworów, reprezentująca chłopów na zewnątrz, głównie w sejmie, w rzeczywistości chłopów nie znała i nie rozumiała. Nejlepszym tego świadectwem jest to, że od ruchu ludowego odeszła. Stało się to dlatego, że nie prze-

zwyciężyła ona w pełni swojej dawnej psychiki, wyniesionej ze dworów. Uczuciowo przez pewien czas do chłopów się modlono, żądając od chłopa za tę modlitwę wdzięczności i miłości dla kraju. Poza tym, inteligencja owa nie rozumiała momentu, dziejowego, schyłkowego okresu dawnych form gospodarczych. Nie umiano znaleźć wspólnego z chłopami języka, ani nie zdołano wytworzyć odpowiednich dla Polski i dla wsi form gospodarczych. Narzucano stale to, co widziano u innych narodów, nie biorąc pod uwagę odrębnych w Polsce warunków. To musiało doprowadzić do rozbratu z chłopami. Chłopów odepchnięto od wpływu na państwo.

Ale ciążąca nad Polską potęga chłopska nie pozwala o sobie zapomnieć. To też, żeby chłopa zaspokoić, szuka się koncepcji fabrykowanych od góry, i rzecz oczywista, nadal szuka się wzorów u sąsiadów. Połowę wsi polskich zniszczono przez komasacje, uniemożliwiając chłopu życie kulturalne. Dziwnie jakoś przeocza się głosy jak choćby w „Kulturze Ludowej" prof. Bystronia, o niefortunnej próbie tego rodzaju reformy w dawnej Polsce i o stosunku do niej chłopów. Wreszcie o skutkach jej w Niemczech. Mówi się u nas obecnie i o majoratach chłopskich, na sposób hitlerowski, a znów nie rozumie się ani tendecji Hitlera, idącej ku likwidacji chłopstwa, ani różnic między Polską a Niemcami, gdzie nie istnieje zagadnienie chłopstwa, lecz góruje zagadnienie produkcji. A u nas istnieje i jedno i drugie. Wszak zagadnienie chłopskie w Polsce, to zagadnienie państwowe. (Niemiecki min. rolnictwa Darre niedawno wyśmiał gospodarkę chłopską).

Reformami tymi zajmiemy się osobno. Tu stwierdzamy, że cała ta gmatwanina jest wynikiem nieprzerwanie ciążącej nad Polską zbutwiałej psychologii szlacheckiej. Dlatego należy za M. Dąbrowską zbadać przeszłość i wysnuć wnioski z tego, co mówi Morstinowa, która, broniąc ziemian tak *kapitalnie mimo woli dowiodła, że interes ziemian nie szedł i nie idzie po linii dobra kraju.* Dziś, obszarnicy, których rola niestety, dominuje w kraju, stawiają Polskę wprost w pozycji tymczasowości. Owe ich frazesy i frazesiki o wyżywieniu kraju podczas wojny i t. p. nie powinny zakleić oczu całej szlachetnej, myślącej i patriotycznej inteligencji. I nie trzeba się pozwolić zastraszyć brakiem patriotyzmu u chłopów, lecz należy głęboko wniknąć w istotę zagadnienia, poszukać i usunąć przyczynę tego zjawiska. **Tu nie chodzi wyłącznie o ziemię, lecz i o pełny zwrot państwa ku chłopom.** Chłop musi ten zwrot odczuć. Ano bo Polski garść ziemian istotnie nie uratuje. A jeśli chłopem w Polsce pomiata się, urządza go się według swojej sobiepańskiej woli, odpycha się go, zastępuje obszarnikiem i księdzem, a jeszcze mu się uroczyście deklaruje, że tak było za ojców, tak jest i tak będzie, bo to płynie „z ducha narodu", to co ów chłop ma myśleć, dokąd kierować ma swój wzrok i ku jakiemu ma zmierzać wyjściu z tych opresyj i głodu.

Wł. Kowalski

A jednak najlepszy...

W W. Brytanii nastąpiła zmiana gabinetu: odszedł sędziwy Baldwin, który stał na czele rządu od 1935 roku, odszedł ten, o którym mówiono, że zwyciężył króla. Na jego miejsce przyszedł potomek zasłużonej w dziejach angielskich rodziny Chamberlain'ów — Arthur Neville Chamberlain, stając na czele gabinetu w dalszym ciągu konserwatywnego. Obrządek tej zmiany przygotowywano oddawna niemal równocześnie z ceremoniałem koronacji króla Jerzego VI i królowej Elżbiety.

Przed swoim odejściem premier Baldwin wygłosił parę przemówień pożegnalnych. Najbardziej charakterystyczne i znamienne z nich było to, które odchodzący szef rządu W. Brytanii wygłosił do młodzieży. W dzisiejszych czasach demagogicznego operowania sympatiami dla młodzieży, to co mówił do swoich młodych ziomków Stanley Baldwin nie znalazło oczywiście łaski na łamach prasy pewnego gatunku, popisującej się swymi rzekomymi sympatiami dla młodego pokolenia i jego haseł i ideałów.

Premier Baldwin mówił do młodzieży o ustroju państwowym. Oświadczył, że w dzisiejszych czasach wysuwa się jako normę postępowania t. zw. interes państwa z pominięciem zupełnym człowieka. Premier Baldwin wzywał młodzież angielską, aby nigdy za tymi hasłami nie szła, bo państwo istnieje dla człowieka, a nie dla siebie samego. Baldwin z całą głębią przekonania, oklaskiwany przez młodzież, stwiedził, że właśnie z uznania i realizacji tej tezy płynie potęga i pomyślność commonwealthu angielskiego. Zewnętrznym wyrazem tego jest oczywiście ustrój przedstawicielski, parlamentaryzm.

To baldwinowskie pożegnanie się z młodzieżą, ten testament ogłoszony publicznie za życia przypomina, że jeden z mężów stanu, po wojnie wobec częstych utyskiwań na ustrój parlamentarny powiedział:

— Zgadzam się, że parlamentaryzm ma wiele wad, ale dotychczas nikt lepszego ustroju nie wymyślił.

Niedawno cytowano w prasie w obszernych wyjątkach artykuł płk. Tadeusza Różyckiego p. t. „Państwo totalne i wojna totalna", obalający utarte pod wpływem reakcyjnych nastrojów przekonanie, że ustrój totalny, antydemokratyczny, bez — parlamentarny, lub posługujący się fikcją parlamentaryzmu, zapewnia państwu siłę i potęgę. (*„Wiedza i Życie"* Nr. 3).

Ogólny wniosek uczyniony przez płk. Różyckiego ku zdumieniu naszych przyjaciół „totalizmu", brzmi: Państwo parlamentarno-liberalne przechodzi tylko ciężki kryzys. W wielu wypadkach wyszło ono zwycięsko z ciężkiej próby, jaką był konflikt zbrojny 1914 — 1918 r. i długotrwały kryzys powojenny. W każdym razie totalizm w obecnej formie nie zdał jeszcze egzaminu dziejowego w takim stopniu, jak idea ustroju parlamentarno - demokratycznego".

Wniosek ten niezmiernie ostrożnie sformułowany postawił płk. Różycki po gruntownej analizie stanu sił i gotowości, do wojny dwóch państw totalnych — Niemiec i Italii. Wnioski fachowca wojskowego można sformułowaaać daleko bardziej kategorycznie.

Kto śledzi uważnie dyskusje parlamentarne w izbach wielkich demokracji angielskiej i francuskiej, lub nawet w sejmie węgierskim, który pomimo dłuższego okresu jeszcze nie zlikwidowanych do końca dążeń do dyktatury, zdołał zachować w sobie częściowo ideę przedstawicielstwa opinii społeczeństwa, ten nie może mieć żadnych wątpliwości co do waloru ustrojów.

Kiedy czyta się sprawozdania z rozpraw parlamentarnych w tych krajach, każdy spostrzega jak ta forma ustroju przez swoją żywotność daje ujście różnym prądom myśli, wydobywa na powierzchnię zagadnienia szersze i węższe, jak rzuca właściwe światło na ludzi i rzeczy i przez ten całokształt osiągnięć wprowadza pewien ład do chaosu życia polityczno-społecznego.

Przykłady najbardziej wymowne wartości parlamentaryzmu, daje najczęściej angielska Izba Gmin. Czy np. w państwach odzwyczajonych od parlamentaryzmu, przeciwnicy tego ustroju dążący do wzmocnienia i konsolidacji swoich państw, zdają sobie sprawę, jakie ogromne znaczenie dla osiągnięcia tego celu ma zwyczaj pytań i odpowiedzi w Izbie Gmin?

W szczególności ta czujna i żywa kontrola daje się odczuć w dziedzinie polityki zagranicznej, przynosząc niezmierne korzyści W. Brytanii, wbrew „totalnym" teoriom, które czynią z resortu dyplomacji niedostępne dla społeczeństwa tabu.

Przypomnijmy sobie przebieg dnia zapytań i odpowiedzi w izbie gmin z d. 16 marca o sprawach hiszpańskich.

Nadeszły wówczas wieści o nowych desantach włoskich w Hiszpanii. Było to nazajutrz nieomal po angielsko - włoskim gentleman - agreement. Posłanka Wilkinson z Labour Party zapytała rząd, czy mu wiadomo coś o nowych desantach włoskich w Hiszpanii po wejściu w życie umowy o zakazie wysyłania ochotników?

Przedstawiciel brytyjskiego M. S. Z. lord Cranborne, wymijająco odpowiedział: „Nic nam nie wiadomo".

Dokuczliwa posłanka zadała nowe pytanie:

— Pan chciał powiedzieć, że rząd nie ma potwierdzenia tej wiadomości?

Lord Cranborne, przyciśnięty do muru, odpowiada:

— Tak, to właśnie chciałem powiedzieć.

A wówczas kolega pani Wilkinson Attlee niepokoi lorda nowym zapytaniem:

— Jak to się dzieje, że Foreign Office, jak zdaje się, nie posiada wiadomości o tym, o czym donosi prasa i jakich metod używa, aby wogóle mieć wiadomości.

Lord Cranborne „wymiguje się" ogólnikiem:

— Już poprzednio wskazywałem, że nie wszystkie wiadomości prasy są ścisłe.

A wówczas spada na lorda nowe zapytanie:

— A czy nie jest faktem, że to czemu Foreign Office zaprzeczało, znalazło później potwierdzenie, gdy nowe kontyngenty ukazały się w akcji bojowej?

Lord milczy, a liberał Mander wśród powszechnego śmiechu rzuca nowe pytanie:

— A czy nie jest faktem, iż nowe kontyngenty żołnierzy włoskich usiłują równie szybko jak przyszły, odejść?

Pada jeszcze kilka pytań i odpowiedzi, lub... przemilczeń, aż liberał sir Percy Harris zadaje takie zapytanie:

— A czy nie moglibyśmy z Gibraltaru otrzymać dokładnych wiadomości. Wszak powinny one nas dochodzić przez naszą *inteligentną* służbę.

Znakomity kalambur: „intelligence service" oznacza bowiem służbę wywiadowczą angielską, a w danym razie tychże słów użył pytający w innym znaczeniu. Dowcip budzi gorące oklaski na wszystkich ławach.

Przedstawiciel rządu J. K. M. lord Cranborne z trudem powstrzymując śmiech na ostatnie pytanie odpowiada:

— Panowie muszą zrozumieć, że obecne położenie jest nienormalne.

Oczywiście, że po tej dyskusji z połowy marca już dla nikogo w Anglii nie były niespodzianką powolne, ale wyraźne zmiany w polityce angielskiej w sprawie hiszpańskiej; nie zdziwiła nikogo dyskusja o kraju Basków, o blokadzie i stanowisko Anglii po incydencie z pancernikiem „Deutschland".

Nastroje i dążenia angielskiej myśli politycznej, do której przystosowują się stopniowo czyny znajdują w swobodnej niczym nie krępowanej (prócz dobrych obyczajów) wymianie zdań prawdziwe i wierne odbicie. Fałszywa tajemnica nie istnieje.

Drugi przykład takich zbawczych dyskusji — to izba francuska. Z prawdziwym zadowoleniem czytało się relacje z tych posiedzeń Izby Deputowanych z d. 7 i 8 maja, na których rząd Frontu Ludowego uzyskał 380 przeciw 199 głosów votum zaufania podczas gdy *nasza prasa filototalna* przepowiadała rozkład większości Bluma „po trzeciej ofensywie".

Rozkładu nie było, a nawet prawicowa grupka radykałów, która prowadziła na własną rękę akcję przeciw rządowi, tym razem oddała głosy za rządem. Dodajmy do tego wspaniały oratorski sukces premiera Bluma, którego jedno z oświadczeń wejdzie na pewno do kroniki najlepszych aforyzmów parlamentarnych, a będziemy mieli obraz skutecznego a dodatniego działania machiny parlamentaryzmu. Aforyzm ten warto zapamiętać:

— Gdyby nawet rząd musiał odejść jutro — mówił Blum — to jednak rządzić musi pod znakiem trwałości i musi uważać się za księgowego stałych interesów kraju. Nasz rząd nie składa się z poszukiwaczy przygód, zabłąkanych u steru władzy, lecz składa się z przedstawicieli wielkich stronnictw, które mu wręczyły mandat, powierzając obowiązki wobec całego narodu.

W tym samym mniej więcej okresie odbyła się w sejmie węgierskim generalna debata budżetowa, w której brała udział żywy i czynny cała opozycja. Debata trwała cały miesiąc, nie znając żadnych tabu i żadnych zakazów poruszania tych lub innych tematów. Wyniki dyskusji ujął „Pester Lloyd" w następującym stwierdzeniu:

— Sprawa parlamentaryzmu lub dyktatury monopartii nie jest wcale otwartym zagadnieniem na Węgrzech. Jest to problemat załatwiony i rozstrzygnięty. Jedyne co pozostało do rozstrzygnięcia, jak zauważył organ węgierski, to przywrócenie ustroju parlamentarnego w całej jego rozciągłości.

Droga powrotu, o której wspomniano — to przywrócenie powszechnego i tajnego prawa głosowania tam, gdzie jak na Węgrzech, od tych zasad odstąpiono. *St. Grostern.*

Konwencja genewska wygasa...

W lipcu b. r. wygasa Konwencja Genewska. Z tą chwilą prawa, obowiązujące na całym terytorium Polski, mogą być rozciągnięte aktem ustawodawczym również i na Województwo Śląskie.

Sprawa jest ważna, ważna specjalnie na odcinku ustawodawstwa społecznego. W kuluarach sejmowych krążą pogłoski, że w lipcu ponownie zwołana zostanie sesja nadzwyczajna — wyłącznie dla zastanowienia się nad sytuacją, wytworzoną wygaśnięciem Konwencji.

Ustawa o Radach Zakładowych i rozporządzenia o „demobilizacji gospodarczej" — to dwa najważniejsze osiągnięcia śląskiego świata pracy.

Rady Zakładowe: rada robotnicza i urzędnicza, pozbawione „dyktatorskiego" charakteru delegacji fabrycznych z Zagłębia Dąbrowskiego, spełniały jednak wcale nieźle swą rolę mediacyjną. Wszelkie drobne sprawy: organizacji pracy, bezpieczeństwa, higieny i t. p. i t. p. znajdowały w nich doskonałych obrońców, którzy zawsze prawie postulaty swoje przeprowadzić potrafili.

Postawieni z mocy ustawy, w bezpośredni kontakt z pracodawcą, zaopatrzeni w prawo puszczania w ruch sankcyj — członkowie Rad Zakładowych — walczyli o słuszne postulaty robotnicze. Działalność tych Rad miała praktyczne znaczenie nie tylko na tym wąskim odcinku — „drobiazgów" z codziennego życia fabryki. Wgląd ich sięgał dalej. Miały one niejednokrotnie możność zajmowania się problemami najistotniejszymi: broniły robotników przed redukcją, pertraktowały w sprawie żądań pracowniczych z zakresu stawek płac, urlopów i t. d. Dzięki ich trudom zwycięsko unikano częstokroć strajków, ich wpływom zawdzięczać należy, że pracodawcy przyjmowali czasem „do zatwierdzającej wiadomości" żądania swych „pracobiorców".

Na tym kończył się jednak zwykle wpływ Rad Zakładowych na działalność przedsiębiorcy. Zbyt mało jeszcze wykwalifikowani, a przedewszystkim rozbici politycznie i społecznie, w ramach kilku zwalczających się Związków Zawodowych, pracownicy fizyczni i umysłowi, reprezentowani w Radach, nie ze wszystkim potrafili teorię ustawodawczą przemienić w żywe ciało praktyki. Nie potrafili wpływać, do czego mieli zagwarantowane ustawą prawo, na bieg prac zakładu, jego organizację, nie wdawali się w skomplikowaną formalistykę kontroli ksiąg i działalności przedsiębiorstw. Ich czynności można określić jako defenzywę — bronili się przed atakami, usiłowali utrzymać zdobyte już placówki, do walki o nowe brakło im umiejętności — czy też może sił?

Obok ustawy o Radach Zakładowych z całą mocą ujawniło się również w czasie kryzysu znaczenie rozporządzenia o przyjmowaniu i wydalaniu robotników i pracowników umysłowych w okresie demobilizacji gospodarczej oraz o środkach przeciwko zwijaniu i unieruchamianiu zakładów. Depresja gospodarcza doprowadzała niejednokrotnie przedsiębiorców do posunięć, nieuzasadnionych koniecznością, a odbijających się przede wszystkim na pracownikach. Redukcje, t. zw. „koncentracja produkcji" — a więc likwidowanie zakładów, nieujęte w jakieś mniej więcej rzeczowe normy, doprowadziłyby musiały do takiego nasilenia bezrobocia, że nawet pewne złagodzenie tego tragicznego problemu stałoby się całkowitą niemożliwością.

Rozporządzenia „demobilizacyjne" w pewnym stopniu rozładowywały tragizm sytuacji. Przedsiębiorcy musieli zgłaszać redukcje, zawieszanie wytwórczości komisarzowi demobilizacyjnemu. On regulował wydalenie i przyjmowanie robotników, on wpływał na ustalanie i długotrwałość turnusów i t. p. Działalność jego to klapa bezpieczeństwa. Czy funkcjonowała ona sprawnie? Nie zawsze. Lecz jednak pewien wpływ łagodzący miała niewątpliwie — a nie wszyscy ostatecznie wychodzą z założenia, że „im gorzej tym lepiej".

W bufecie sejmowym wiele mówi się o zagadnieniach powyżej poruszanych. Czego domagać się będą poszczególne grupy posłów?

Kwestia jest drażliwa. Robotnik śląski nie tak łatwo da się pozbawić praw, które mu od dawna już przysługiwały. Zniesienie Rad Zakładowych, uchylenie rozporządzeń „demobilizacyjnych" — to gra ryzykowna. Rząd zechce raczej zachować chwilowo dla Śląska jego ustawodawstwo, a zająć się tymczasem, tylekroć już dyskutowanymi i z nienajlepszej strony oświetlanymi, Izbami Pracy.

„Sfery gospodarcze" choć bynajmniej nie entuzjazmują się śląskim ustawodawstwem pracy, lecz zwalczać Rad Zakładowych najprawdopodobniej nie będą — oczywiście z zastrzeżeniem, że ich działalność nie zostanie rozszerzona na terytorium całej Polski. Ostatnia fala strajkowa nadowodniej wykazała naszym wielkim przemysłowcom, że jednak lepiej jest znacznie pertraktować z pracownikami za pośrednictwem Rad, aniżeli wystawiać się na niebezpieczeństwo walki bezpośredniej z masą robotników. Ale zato rozporządzenia „demobilizacyjne" zbyt już bolą „enterprenerów", by mogli przejść nad nimi do porządku dziennego. Pozbawiają one ich bowiem podstawowego prawa, wynikającego z zasad ekonomii liberalnej — nieskrępowanej swobody działań. Pozbawiają ich tego prawa w sposób jaskrawo nazewnątrz uwidoczniony (z Radami Zakładowymi zawsze jednak można było pertraktować nieoficjalnie, i działalność ich niewidocznie „unieszkodliwiać" — choć zresztą i na przepisy „demobilizacyjne" znaleźć można było środki „neutralizujące"). Na tym odcinku przemysłowcy niewątpliwie przypuszczą atak.

Świat pracy — ten z prawdziwego zdarzenia, nie ze sceny sejmowej, lecz z widowni codziennego życia, wysunie swe żądania, o których realizację walczyć i chce i może.

Ustawa o Radach Zakładowych, rozporządzenia o przyjmowaniu i wydalaniu robotników i pracowników umysłowych oraz o środkach przeciwko zwijaniu i unieruchamianiu zakładów — to jeszcze jeden stopień zmagania się ciągle o lepsze ustawodawstwo socjalne. Stopień ten osiągnął już robotnik śląski — przekroczyć go również muszą i jego towarzysze z innych dzielnic Polski. Jesteśmy krajem jednolitym, niepodzielnym — jednolite i niepodzielne winno rządzić nami ustawodawstwo, jednolite i najlepsze!

Rudolf Lessel.

„Skończyć z Matuszewskim!"

Niezależni historycy i interpretatorzy współczesności byli w Polsce z reguły męczennikami. Nie być pochlebcą tłumów, nie widzieć w opasłym fabrykancie tkanin łódzkich i w pocącym się dyrektorze upaństwowionej huty śląskiej uosobienia zbawców ojczyzny, nie dopatrywać się w prowincjonalnych kreaturach, intrygujących w promieniu swego naturalnego zasięgu, t. j. w promieniu 500 cm od ratusza miejskiego i tysiąca metrów od lokalnego kryminału, wielkich mężów stanu Polski Odrodzonej — znaczy... nie doceniać naszej mocarstwowości.

Najpotworniejszą puścizną lat niewoli to wieczna chęć niewidzenia rzeczywistości. I dlatego ilekroć ktoś zawoła w Polsce na głos, że rzeczywistością naszą, szczególnie w dziedzinie polityczno-gospodarczej, rządzą najbrudniejsze zasady, najbardziej kramarskie i nędzne interesiki, że problem uprzemysłowienia kraju, tworzenia warunków pracy dla najszerszych warstw, podniesienia standardu życiowego, że wszystkie te problemy razem wzięte i sto innych na dodatek, zostają codzień na nowo przekramarzone w cichych układach pomiędzy korumpującym kapitałem a skorumpowanymi wykonawcami polskiej gospodarczej racji stanu; ilekroć ktoś o tym zawoła czy tylko napomknie, pada wyzwanie ze strony zainteresowanych, pada okrzyk: skończyć z rewelatorem!

„Skończyć z Matuszewskim!" wołał nieprzytomnym głosem na konwentyklu Lewiatana dyrektor najpotworniejszego z polskich karteli, Kartelu Hut Żelaznych. I było to zupełnie zrozumiałe. Matuszewski, abstrahując w tej chwili od kierunków którym hołdował w głoszonych przez się zasadach polskiej polityki gospodarczej, głosił nadewszystko prawdę, widział ją, interpretował, wykazywał jej źródła i pragnął ją największym wysiłkiem woli ludzkiej — naprawić. Zbiór publicystyk i odczytów Ignacego Matuszewskiego p. t. „Próby syntez"*) to właśnie cykl różnych kolejnych etapów walk i bojów bezsprzecznie najodważniejszego ekonomisty polskiego w dążeniach do zbadania i zreformowania naszej współczesności ekonomicznej.

Matuszewski otrzymał markę twórcy polskiej polityki zaciskania pasa, polityki deflacji. Czytając „Próby syntez", zatrzymując uwagę swą na takich istotnych momentach poglądu gospodarczego jak sprawa dochodu społecznego, sprawa kapitalizacji wewnętrznej, sprawa uprzemysłowienia kraju i wytworzenia proporcji pomiędzy wytwórczością wsi a wytwórczością miast — widzimy, że pomiędzy obrazem Matuszewskiego, którym częstowano nas z pewnej strony, a obrazem wyłaniającym się z jego własnej książki istnieje ogromna różnica. Matuszewski przez nas czytany, to wprawdzie głosiciel poglądu o potrzebie rentowności prywatnego działania gospodarczego, ale i prywatnej odpowiedzialności nie tylko gospodarczej — za to działanie. To głosiciel również i odpowiedzialności powstającej z tytułu i z powodu rządzenia dobrem publicznym. I stąd jego ciągłe, z żelazną konsekwencją powtarzane wołanie o proporcję pomiędzy dochodami a wydatkami — nie tylko w budżecie państwa, ale i w budżetach samorządów, ale i budżetach przedsiębiorstw państwowych— i również w budżetach gospodarstw prywatnych. Dążenie do równowagi polityczno-gospodarczej, kroczące na czele wszystkich rozważań autora „Prób syntez", postawiło go w swoim czasie na czele akcji „równania cen". Stąd wielka uraza całej hałastry kombinatorów przemysłowo-gospodarczych i ich kupnych sprzymierzeńców. Stąd okrzyk na konwentyklu „strohmannów kartelowych" — „skończyć z Matuszewskim!"

Prawdy gospodarcze są, jak wspominaliśmy w Polsce bardzo nie mile widziane. Już nie tylko rozważania głębokiego umysłu, nie tylko wywody publicysty na wielką skalę i męża stanu świadomie zdążającego do określonych celów polityczno-gospodarczych, denerwują zawistną grupę, kartelu feodałów gospodarczych — ale nawet zwykłe sprawozdania z naszej ekonomicznej rzeczywistości. Wystarczy przypomnieć: kiedy niedawno temu jeden z pomniejszych, cokolwiek zbuntowanych pisarczyków Lewiatana, napisał rzecz o polskim węglu, zawrzało za kulisami do tego stopnia, iż zachodziła wielka obawa, że wraz z bohaterami dramatu węglowego zachwiane zostały także i poniektóre dekoracje tego dramatu. Zbyt naturalistycznie przedstawiony jeden z dyrektorów departamentu wespół z baronami węglowymi przeprowadzał na gwałt konfiskatę książki o polskim handlu węglowym...

Dygresja odnosząca się do „geszeftu węglowego" była na tym miejscu potrzebna. Potrzebna dlatego, by zrozumieć różnicę pomiędzy brakami w uprawnieniach i w świadomości społecznej u nas— i gdzie indziej. Gdyż gdzieindziej ginęły być może największe zdobycze demokracji z powodu błędów wodzów, a u nas nie mogła nigdy właściwa forma demokracji i świadomości społecznej dojrzeć —z powodu celowo i destukcyjnie przeprowadzanego złego wychowania społeczeństwa. Ukrywanie prawdy, fałszowanie rzeczywistości, odgrywanie przed społeczeństwem tragifarsy rzekomego budowania dóbr ekonomicznych dla dobra całości, przy równoczesnym pozbawianiu społeczeństwa wszystkich należnych mu dóbr narodowych, to dewiza większości naszych działaczy gospodarczych. I dlatego na tym tle występowanie publiczne w imieniu prawdy i celem wychowania społeczeństwa dla zrozumienia tej prawdy, jest wielkim czynem obywatelskiej odwagi. Tę odwagę w występowaniu publicznym, mimo pozornej niepopularności, wykazywał przez lata długie — trzeba to raz wreszcie powiedzieć — Ignacy Matuszewski.

Z Matuszewskim w wielu poglądach nie zgadzamy się, nie możemy go jednak nie uznawać. Nie można zapoznawać tej niepomiernej zasługi, jaką dla wychowania narodowego, nie tylko gospodarczego, ale i politycznego — miał dla współczesnego pokolenia. Widział nie tylko 130 lat niewoli, ale i poprzdnich 150 lat rozkładu polityczno-gospodarczego. Widział poza trzema zaborcami, pokonanymi krwawym znojem czasu wielkiej wojny, czwartego zaborcę — w tendencji do oszukiwania samych siebie. Matuszewski dążył w swych licznych publikacjach i wystąpie-

*) *„Próby syntez"*, Warszawa 1937. Biblioteka Polska.

niach publicznych — do proporcji. Kiedy inni delektowali się tak czy inaczej zdobywanymi sztucznymi efektami, kiedy tworzyli dysproporcje rzeczywistości polskiej w formie sztucznie i oranżeryjnie hodowanego przemysłu, chorobliwie żyjącego na podkładzie nawozu anormalnie wysokiej taryfy celnej, wołał Matuszewski o zniżkę taryfy, a co zatem idzie o zniżkę cen a zwyżkę realnej stawki dochodu społecznego. Wołał o proporcje! Pośród tysięcy rycerzy koniunktury naszego gospodarstwa, był, trzeba to wyraźnie powiedzieć, jednym z nielicznych, rycerzy struktury. I dlatego to, najemnicy Lewiatana, zawodowi służalcy, wiecznie głodni dobrego obiadu, spostrzegli się, że dążność Matuszewskiego do proporcji gospodarczych w Polsce może im zderutować wysokość rent, rozpoczęli hałaśliwą sarabandę, że Matuszewski to żaden ekonomista. Bo niby skąd? Nie siedzi w żadnej radzie nadzorczej, nie pobiera żadnych żetonów za przemilczanie interesów kartelowych. Tak samo jak nie był dla junkrów niemieckich ekonomistą autor „Ertrag und Einkommen", Liefmann, którego teoria zysku z kapitału przeszła jednak do ścisłej wiedzy ekonomicznej jako jedna z najpodstawowszych części składowych obowiązującej doktryny. Tak samo jak nie był ekonomistą w oczach zaniepokojonych bankowców i lichwiarzy Silvio Gesell, któremu zarzucano głoszenie naiwnej teorii wyzysku, a jednak poglądy jego i przekonania stanęły na czele polityk gospodarczych największych państw po okresie wielkiej wojny.

„Próby syntez" to podsumowanie, nie zawsze popularnych i zresztą nie przez wszystkich podzielanych, poglądów byłego ministra skarbu i jednego z najzdolniejszych publicystów w Polsce. „Próby syntez" wybijają się wysoko ponad przeciętność dorobków literackich różnych naszych polityków gospodarczych, którzy mają ambicję naukowców i wydają książki żenujące, i różnych naszych ekonomistów, którzy swą mniej lub więcej dobrą wiedzę, podporządkowują mniej lub więcej złym politykom. „Próby syntez", to próby wprowadzenia „proporcyj" pomiędzy elementy polskiej rzeczywistości polityczno-gospodarczej.

A. D.

Hitler w świetle własnego rodowodu

Adolf Hitler, niekoronowany monarcha Rzeszy Niemieckiej, jest jednocześnie najwyższym uosobieniem obowiązującej w jego państwie ideologii rasizmu, która jedność narodu zasadza na jedności i wspólnocie krwi. Czy jest on zarazem i najwyższym przedstawicielem czystej, rdzennej rasy niemieckiej?

Na to ostatnie pytanie odpowiedź nie jest łatwa. Dla rasologów berlińskich jest nawet bardzo kłopotliwa. Adolf Hitler, jak wiadomo, jest człowiekiem, który służył w armii niemieckiej, który uzyskał swego czasu obywatelstwo niemieckie, ale nie urodził się w granicach Rzeszy Niemieckiej. Pochodzi on z Austrii — z pod berła dawnej dynastii Habsburgów i to z tych ziem austriackich, na których element germański od wieków ścierał się, krzyżował i stapiał z elementem czeskim, morawskim, słowackim i węgierskim.

Dyktator niemiecki, jak większość dyktatorów współczesnych, urodził się poza etnograficznym obrębem kraju, którym włada (Kemal Ataturk urodził się w greckich Salonikach; Schuschnigg, kanclerz austriacki, ujrzał światło we Włoszech; Stalin jest z pochodzenia Gruzinem). Jest rzeczą wszakże zrozumiałą, że w stosunku do żadnego z owych dyktatorów sprawa genealogii nie jest tak interesująca, jak w stosunku do Adolfa Hitlera. Wszak on jeden stał się apostołem wiary niemal religijnej w rasę, a rasa, w jego ewangelii, to — nieskazitelność genealogii, to czystość rodowodu, to — rodowód posunięty do rangi najwyższego, jeśli nie jedynego sprawdzianu wartości ludzkiej.

Jakże tedy przedstawia się osoba fundatora Trzeciej Rzeszy w świetle jego własnej doktryny? Jak wygląda jego indywidualność na tle środowiska, z którego wyrósł, na tle kraju, który był jego kolebką i gniazdem?

Usłużna legenda, kwiatami ścieląca drogę, po której kroczą władcy tego świata a mieniące się zasłony rzucająca na ich niepokaźną przeszłość, w bajeczne kolory przybrała także rodzinny ogród i dom Hitlera, stylizując je w duchu dekoracji surowej i ubogiej, lecz wzniosłej, sielskiej i majestatycznej.

Czyż trzeba dodawać, że z tą wzniosłą dekoracją rzeczywistość nie ma nic wspólnego?

John Gunther, niezależny a ruchliwy pisarz angielski*), który specjalną przedsiębrał podróż, aby zwiedzić i opisać strony rodzinne Hitlera, pozwala nam na jego kolebkę spojrzeć nie oczyma legendy, ale trzeźwym wzrokiem realisty, szukającego prawdy.

Przyszły władca Niemiec ujrzał światło dzienne w austriackiej prowincji zwanej Waldviertel, sąsiadującej z pobrzeżem dunajskim a przylegającej do granicy czeskosłowackiej: ujrzał je nie w sadybie wiejskiej, wyrażającej wedle rasizmu najściślejszy związek człowieka z żywymi sokami krwi i ziemi (Blut und Boden) ale w trzypiętrowej kamienicy małego podupadłego miasteczka Braunau, jakby zagubionego na rozdrożu szlaków dziejowych. Miasteczko jest dzisiaj równie liche i niepozorne, jak było lat temu czterdzieści, kamienica zaś od lat dwudziestu przerobiona została na dom zajezdny (Gasthaus) jakby w tym celu, aby uwydatnić wędrowny charakter żywiołu, który tu zamieszkał. Tam, gdzie kiedyś, być może, wmurowana będzie tablica, stwierdzająca miejsce urodzenia Führera, metalowy szyld emaliowany obwieszcza dzisiaj: „Piwo z beczki". Dom wymalowany jest ochrą ciemną, przypominającą barwę brunatnych koszul. W roku 1933 mieszcząca się w nim gospoda była zamknięta przez władze austriackie, gdyż służyła za punkt zborny dla okolicznych „narodowych socjalistów". Nie jest prawdą, że dom ten był niegdyś własnością rodziców Adolfa Hitlera. Rodzice jego wynajmowali tu jedynie małe mieszkanko.

Okolica, otaczająca Braunau jest krajem dziecinnych lat Adolfa. Żyją w niej dziesiątki osób, które znały go i pamiętają jako chłopca. We wsi Spital opodal Weitry nasz informator angielski spotkał sio-

*) *John Gunther:* „Les pilotes de l'Europe". Trad. de l'anglais par D. van Moppes.

strę jego braci ciotecznych. Chłopi, zamieszkujący te strony, są to przeważnie ludzie ubodzy i ciemni, uginający się pod ciężarem pracy, która nie zawsze zapewnia im kęs twardego chleba. Tradycyjne przywiązanie do kościoła idzie w parze wśród nich z odwiecznym analfabetyzmem. Ludność całych osiedli składa się z rodzin, powiązanych pierwszym lub drugim stopniem pokrewieństwa. Rodziny te siedzą na roli, pracują w młynach lub trudnią się drobną ciesielką i stolarstwem.

W jednym z takich osiedli, pół rolniczych, pół rzemieślniczych, urodził się w r. 1792 niejaki Johann Georg Hiedler: był to dziad obecnego kanclerza Rzeszy Niemieckiej. Był czeladnikiem młynarskim. W związku z Marią Anną Schicklgruber spłodził on syna w r. 1837. Rodzice pobrali się dopiero w pięć lat po przyjściu na świat dziecka, które długo nosiło nazwisko matki. Jakoż upłynęło lat 40, nim przedślubna latorośl została usynowiona i otrzymała imię Aloisa Hitlera. Był to ojciec Adolfa. Zamiana nazwiska Hiedlera na Hitlera nie powinna dziwić nikogo. Chłopi, którzy tam zaledwie władają piórem, stają wobec konieczności ustalenia swych nazwisk jedynie w dniach chrztu i pogrzebu. Ojciec Adolfa Hitlera w rzeczywistości nazywał się Hüttler, jak opiewają rejestry, które nasz autor angielski osobiście sprawdzał w kancelarii parafialnej. Paula Hitler, siostra Adolfa, po dzień dzisiejszy, wierna domowej tradycji, podpisuje się Hiedler.

Alois Hitler, ojciec Adolfa, był szewcem. Żonaty był trzykrotnie. Jego pierwsza żona, Anna Glaesl-Hover, kobieta zamożna, była o tyle odeń starsza, że uchodzić mogła za matkę młodego szewca, który podówczas znany był, jako Schicklgruber. Posyłała go ona do szkoły, poczym uzyskała dlań posadę drobnego urzędnika celnego. Miała o 14 lat więcej od męża. Ten ostatni dzięki niej stał się w swoim światku szanownym obywatelem. Również dzięki niej Adolf, który urodził się z innej kobiety, w wiele lat później, mógł otrzymać pewne elementy wykształcenia. Anna umarła w r. 1883. Już w sześć tygodni po jej śmierci Alois żeni się ponownie. A gdy druga żona umiera po roku, zaślubia niebawem trzecią, swoją krewną daleką. Klarę Poelzl: tę, która miała stać się matka Adolfa Hitlera. Ślub odbył się w styczniu r. 1885. W cztery lata po tym, 20 kwietnia r. 1889, urodził się założyciel Trzeciej Rzeszy. Przyszedł na świat w Braunau, gdy ojciec jego miał lat 52, matka 29.

Klara Poelzl, matka Adolfa, była kobietą przedsiębiorczą i odważną. Była ona córką chłopa ze Spitala. Jako dziewczynka 10-letnia przyjęła ona służbę w domu Aloisa Hitlera, gdy żyła jeszcze pierwsza jego żona. Tutaj zapoznał się on z tą, którą po latach piętnastu miał zaślubić.

W pewnej chwili młoda Klara, porzuciwszy służbę, uciekła do Wiednia. Był to w danym środowisku krok niebywale zuchwały. Nikt w okolicy nie znał powodów jej ucieczki. John Gunther rozpytywał o to jej siostrę, lecz ta nie wiele umiała mu powiedzieć.

Klara, w tajemniczych okolicznościach, spędziła w Wiedniu około lat dziesięciu. Gdy w roku 1885 wróciła do swej wsi rodzinnej, była to panna w kwiecie wieku, niezbyt dorodna, lecz ambitna i nerwowa. Wraz z rodzicami zamieszkała ona w domu, który sąsiadował z domem Aloisa, opłakującym podówczas zgon swoich dwóch małżonek. Świeży wdowiec przypomniał sobie dziewczynę, która służyła niegdyś w jego domu i ponownie ją w dom swój wprowadził, tym razem jako żonę.

Alois miał dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa: syn, także Alois, poszedł na kelnera do Hamburga i tamże umarł; był to — co za ironia losu! — nieprzejednany socjalista. Córka Aniela przeniosła się do Wiednia, gdzie utrzymywała stołówkę dla studentów. Adolf z czasem przywołał ją do siebie i osadził na gospodarstwie w swej ulubionej willi w Berchtesgaden.

Klara, poza Adolfem, miała jeszcze dwoje dzieci, z których syn Edward zgasł w wieku niemowlęcym. Córka Paula, urodzona w r. 1897, pozostała starą panną i mieszka obecnie w Wiedniu, żyjąc w zupełnym odcięciu od świata. Miejscowi narodowi socjaliści próbowali wprawdzie uczynić z niej heroinę i patronkę swej ideologii, lecz skromna kobiecina nie zrozumiała swej roli. Kanclerz Rzeszy nie utrzymuje z nią, zdaje się, żadnej łączności.

Rodzice Adolfa Hitlera mieszkali wraz z dziećmi w Braunau aż do r. 1896, t. j. do czasu, w którym Alois odszedł na emeryturę. Przeniósł się on wtedy do Leondingu, miasteczka położonego pod Linzem, nabył tam domek i w domku tym, wraz z Klarą i Adolfem, mieszkał do śmierci, która go zabrała w r. 1903.

Dziwnego wrażenia doznaje podróżnik, który, zwiedzając okolice Linzu, zbłądzi na wiejski cmentarz Leondingu i stanie nad grobem Aloisa Hitlera: dziś jeszcze z nadgrobnego pomnika spojrzy nań spłowiała lecz niezatarta fotografia, starym obyczajem drobnomieszczańskim przytwierdzona do głazu, niby pozór przelotnego życia do wiecznej tajni milczenia. Jakiż to nic nie znaczacy człowiek, dziwnie obcy a jednak dziwnie pospolity, spogląda ku nam z odległości lat trzydziestu kilku: czaszka wielka i okrągła, łysa jak dynia, oczki świdrujące a zdrożne, wąsy podkręcone do góry, podbródek osunięty wdół, ciężki podbródek domowego tyrana. Toż ma być — pyta pisarz angielski — owa pieczęć legitymacji, wyciśnięta na podstawie wielkiej roli historycznej? Ta krągła dynia ludzka o ciężkim podbródku i wązkim spojrzeniu?

John Gunther, który oglądał wizerunek Aloisa na głazie cmentarnym, w jakiś czas potym widział również portret jego trzeciej żony: uderzyła go wyniosła, smukła postać o twarzy pociągłej i wrażliwej, o brwiach wygiętych łukiem, o wydatnych kościach policzkowych; nadewszystko uderzyły go oczy wielkie i świetliste.

Młody Adolf, jak wiadomo, nienawidził ojca, kochał zato i uwielbiał matkę. Ta wyjątkowa i trudna sytuacja, na którą zwracali uwagę w rozmowie z Guntherem wszyscy współziomkowie rodziny Hitlerów, odegrała z pewnością stanowczą rolę w rozwoju charakteru a może i w losie młodego Adolfa. Adepci psychoanalizy rzekliby, że od lat najwcześniejszych zrodził się w nim kompleks Edypa, kompleks, który w r. 1903, w roku śmierci ojca, był dostatecznie silny, aby zaciążyć nad późniejszym życiem młodzieńca i męża.

Ojciec Adolfa był naturą krwistą, władczą i zmysłową. Umarł on nagle, w szynku, nad niedopitym kuflem czy butelką. Uważał on Adolfa za chłopca małozdolnego, słabego i marzyciela. Nazywał go „chłopcem" księżyca. Traktował go ostro i obcesowo.

Z nienawiści do ojca tym żarliwiej młody Adolf kochał matkę, tym dobitniej na każdym kroku przeciwstawiał się wzorom rodzica. Stary Hitler chętnie

zaglądał do butelki. Syn wyrósł, nie biorąc do ust kropli wódki lub piwa. Ojciec trzykrotnie się żenił, w krótkich odstępach czasu biorąc jedną kobietę po drugiej. Syn trzyma się zdala od małżeństwa i kobiet. Stary Hitler oddawał się rozkoszom zmysłów; młody lęka się pokusy zmysłów, jak zasadzki wroga.

Adolf kochał matkę nade wszystko. Miał lat sześć, gdy zachorowała ona na raka, który odtąd w ciągu lat dziesięciu trawił ją z małymi przerwami, nim wpędził do grobu. Nim umarła, zdążyła ona jednak przelać w syna swą ambicję, swą wiarę w jego posłannictwo. Pragnęła widzieć go innym od ojca. Chciała, aby stał się artystą. I syn odtąd starał się, ile miał sił, udowodnić matce, jedynej kobiecie, którą kochał, swe prawa do powodzenia, do kariery, do władzy.

W Spitalu, wiosce oddalonej o godzinę drogi od Leondingu, mieszka dotychczas, jak wspomina John Gunther, wielu członków rodziny Hitlera; wśród nich jego ciotka Teresa, siostra Klary, sucha, koścista starucha, oraz jej dwaj synowie, cioteczni bracia dyktatora Niemiec. Jeden z nich, Edward, garbus i jąkała, jest prawdziwym pasierbem losu. Wszyscy żyją w niedostatku, borykając się z biedą.

Ludzie ci jakże blizcy są Führerowi, krwią i pochodzeniem t. j. tym, co on za najważniejsze uważa, a jednocześnie jak dalecy przez to wszystko, co rozstrzyga o stanowisku i roli człowieka w świecie! Ich nędzne izby jakże obce są wspaniałym, olśniewającym komnatom na Wilhelmstrasse, gdzie ma swoją siedzibę władca Trzeciej Rzeszy! Adolf Hitler ani razu nie wrócił do swych miejsc rodzinnych od czasu młodości i zdawać się może, że najzupełniej zapomniał o ich istnieniu.

Czy zapomniał o nich naprawdę? Czy celowo pamięcią ku nim nie wraca? Czy świadomie przed obrazem swego dzieciństwa ucieka? Mniejsza o to; jakakolwiek na to pytanie padłaby odpowiedź, fakt pozostaje faktem, że, świadomie czy nieświadomie, w każdym człowieku trwa to, co było jego dzieciństwem i młodością: to, co stanowi trzon zasadniczy, wokół którego nawisają się pasma wszystkich jego późniejszych przeżyć i doznań. Trwają więc minione lata również i w indywidualności Adolfa Hitlera. Trwają, jako nieodłączny osad jego psychiki, jako milczacy może, lecz niemniej przeto ważki współczynnik jego postanowień i kroków.

Dlatego uważaliśmy za słuszne współczynnik ten przedstawić tutaj choćby w skrócie jego najważniejszych pierwiastków. Pierwiastki te bowiem, jeśli chodzi o ich byt przedmiotowy, rozproszyły się dawno po cmentarzach wiejskich, wygasły i spłowiały w poszarzałych rysach starych fotografij. Ale bytem podmiotowym żyją one trwale i uparcie w osobie dzisiejszego dyktatora Niemiec. W pokładach jego świadomości lub podświadomości żyje i szara kamienica w Braunau, i Waldviertel, rojne mrowisko ludzkie na rozstaju zaścianka, i cioteczny brat garbus - jąkała, i krzywda młodej matki, i nienawistna tyrania starego ojca, i to wszystko, co przemarzył w rozmowach z matką, pokładającą w sercu syna swoją miłość i odwet, zemstę i nadzieję.

Najlotniejsza fantazja nie zdoła tego zasobu przeżyć, który przyszły Führer zaczerpnął ze swego gniazda rodzinnego, przekształcić na błogosławieństwo rasy, patronującej jego krokom późniejszym na arenie politycznej. Ale tam, gdzie nie możemy doszukać się podszeptów rasy, przemawiającej rzekomo władczym natchnieniem krwi, jakże wyraźny jest wpływ konkretnego środowiska społecznego, jak dobitna i potężna być musiała rola owego środowiska, jako odskoczni w drodze i dążeniu do kompensaty za wszystko, co w środowisku tym było nędzą, bolem i upokorzeniem!

Tu, w splotach i warunkach środowiska, w kręgach i warunkach momentu, nie zaś w złożach niewiadomej rasy — jakże zmąconej, jakże wątpliwej na tym krzyżowisku narodów — tai się prawdziwy klucz do roli dziejowej Adolfa Hitlera. *To też nie synem swej rasy, ale synem dziejowego momentu należałoby nazwać dyktatora Niemiec.* Bo nie jakaś zagadkowa, mityczna rasa, ale konkretny moment dziejowy sprawił, że Adolf Hitler, syn nieszczęśliwej rodziny, syn upośledzonego środowiska, niosący w sobie ranę osobistej krzywdy, spotkał się na swym szlaku życia z wielkim zakrwawionym narodem, poszukującym, po przegranej wojnie, zbiorowego odwetu, zbiorowego samopotwierdzenia swej woli w aktach nowej siły, dumy, ekspansji, hegemonii.

Prawie wszyscy dyktatorzy współcześni przyszli na świat, jako ludzie ubodzy, w środowiskach poniewierki społecznej, niedostatku a nawet nędzy. Ale zamiast wydać tej nędzy masowej walkę i do udziału w walce powołać wszystkich wyzyskiwanych i uciśnionych, odbili się oni indywidualnie od jej padołów i, zasiadłszy w wysokim siodle władzy, weszli w świat możnych i uprzywilejowanych, aby wespół z nimi panować, topiąc własne wspomnienia udręki w morzu nieodkupionej krzywdy i niedoli.

A. Grot

Chłopskie wczoraj

Historycy szlacheccy wielokrotnie rozpatrywali kwestię, czy chłop polski był, czy nie był niewolnikiem. Odpowiedź wypadała oczywiście, że nie był nim; doszukiwano się różnych stron bytu chłopskiego, które świadczyłyby o jego „wolności". Ze swej strony stwierdzimy, że nie opierając się na prawnym stanie (nie wg. prawa bowiem, lecz bezprawia rządzono chłopem) rzeczywiste położenie chłopa było **niewolnicze.** Ilość ogólna ciężarów, obarczających chłopa wzrastała stale od XVI w. i granica ich określona była bynajmniej nie prawem, lecz potrzebami szlachcica. Stałe pogarszanie sytuacji chłopa miało główne swoje źródło w przechodzeniu szlachty do gospodarki folwarcznej, która w drugiej połowie XVIII w. jest formą przeważającą. (wyjątek stanowiły okolice podkarpackie, gdzie przeważała dzierżawa czynszowa). Folwark szlachecki potrzebował rąk roboczych i narzędzi — jednych i drugich musiał dostarczyć chłop, on również utrzymywał inwentarz, którym uprawiał pańskie pole. Oprócz pańszczyzny obciążały jeszcze chłopa daniny w pieniądzach i w naturze. Polem jednak największych nadużyć były t. zw. daremszczyzny, to znaczy różne posługi, prace poza pańszczyzną, do których zmuszano chłopa i które odrabiał za darmo. Drugą konsekwencją przechodzenia szlachty do gospodarki folwarcznej były t. zw. rugi, czyli po prostu wywłaszczanie chłopów. Odbywało się ono pod rozmaitymi pozorami. Najpospolitszą formą było zmniejsza-

nie obszaru gruntów chłopskich i odbieranie chłopom gruntów lepszych a osadzanie na gorszych. Obok tego zachodził proces całkowitego wywłaszczania. W rezultacie pod koniec XVIII w. całkowicie bezrolni stanowili w Polsce ok. 17% ogółu chłopów. Procent ten był wyższy w tych dzielnicach, w których, dzięki większym możliwościom zbytu zboża, wyżej stało gospodarstwo rolne. W Wielkopolsce całkowicie bezrolni stanowili blisko 30%. Do tego dodać należy liczbę chłopów prawie bezrolnych, posiadających poniżej 0,25 włóki, którzy w Wielkopolsce stanowili 28,6%, zaś w całej Polsce 31,8 (w Małopolsce prawie 50%.

Wszelako szlachta potrafiła zabezpieczyć się, aby ta wielka stosunkowo liczba bezrolnych chłopów nie zamieniła się w wolnych najemników — co, wobec odczuwanego w XVIII w. głodu rąk roboczych, mogło znacznie podrożyć cenę robocizny. Zapobiegał temu fakt, że i bezrolny chłop, tak samo jak osiadły przywiązany był do „ziemi", odrabiał pańszczyznę, podlegał najmom przymusowym, daremszczyznom, takie same kary groziły mu za ucieczkę — był jednym słowem własnością pana. Nawet i ci bezrolni, którzy jako chłopscy komornicy (odnajmujący izbę u chłopa) nie mieli zdawałoby się żadnego związku z dworem, nawet i ci odrabiali pańszczyznę!

Ucisk ekonomiczny, zwiększanie ciężarów do ostatecznych granic, szedł w parze i był ułatwiany przez stałe zwiększanie osobistej zależności chłopa od pana. Obostrzano kary na uciekających chłopów, zwiększała się samowola szlachecka; szlachcic bowiem stanowił najwyższy i jedyny wymiar sprawiedliwości dla swoich chłopów. Pan był dyktatorem ekonomicznym: regulował, gdzie chłop ma sprzedawać i kupować, on ustalał ceny. W rezultacie chłop cały proces wymiany realizował przez dworskich arendarzy, co było poważnym źródłem dochodów szlacheckich. Pan decydował o osobistych (zdawałoby się) sprawach chłopa, ożenić mógłby się on tylko za pańskim zezwoleniem, pan wyznaczał, który z synów czy córek służyć ma we dworze i t. d.

Punktem, który w oczach naszych historyków ma dowodzić, że chłop nie był niewolnikiem, było prawo do posiadania własności ruchomej. Należy ich jednak podejrzewać tutaj o głęboką ironię, znali bowiem oni faktyczny stan tej sprawy i wiedzieli, że majątek ruchomy chłopów był przedmiotem systematycznej kradzieży. Jeszcze w XIX w. grabież ta została uświęcona przez prawo! U Wł. Grabskiego możemy wyczytać np. wyznanie, że bogatsi chłopi żyli w takiej samej nędzy, jak małorolni, że, jeśli nawet posiadali pieniądze, musieli je chować, gdyby bowiem zużyli na ulepszenie gospodarstwa, pociągnęłoby to za sobą zwiększenie ciężarów. Nawet niewolnik za czasów faraonów miał „prawo" posiadać ukryty w dziupli skarb, dopóki nie dowiedział się o tym jego pan.

Nie będziemy tu opisywali rozmiarów nędzy i ucisku chłopa w Polsce. Wystarczy sięgnąć do tradycyjnych opracowań tej sprawy, które jakkolwiek tendencyjne, nie potrafią ukryć faktycznego stanu. Wyłazi on zawsze wbrew ich woli z przytaczanych faktów, z samego „prawnego" stanu kwestii chłopskiej. Wystarczy przytoczyć fakt, że zarówno nędza jak niewolnictwo spowodowały minimalny przyrost naturalny, że ten sam chłop polski, który w drugiej połowie XIX w. po uwłaszczeniu pod względem płodności porównywany był z królikami, wówczas po prostu nie rozmnażał się. Dopiero wprowadzenie w końcu w XVIII w. masowej uprawy kartofli poprawiło nieco warunki życiowe chłopa i odbiło się dodatnio na przyroście naturalnym.

Miało to doniosłe znaczenie dla całokształtu życia gospodarczego. Słaby przyrost naturalny chłopów odbił się ujemnie na rozwoju stosunków agrarnych, stanowił jedną więcej przeszkodę przejścia od pańszczyzny do pracy najemnej. Odbił się na sytuacji chłopa również, ponieważ brak rezerwowej armi robotników zachęcał szlachtę do silniejszego „przywiązania" chłopa, do zaostrzenia form niewolnictwa. Przywiązywano chłopa również tam, gdzie nie odrabiał on pańszczyzny, gdzie był czynszowym dzierżawcą, zapobiegano, aby przeciążony czynszami i daninami nie porzucał ziemi, szukając lepszego szczęścia.

Ujemnie odbiło się to również na rozwoju miast i przemysłu. Miasta, jeśli nie liczyć nielicznego stosunkowo napływu elementu obcego głównie kupieckiego, skazane były na własny „przyrost naturalny". Brak dostatecznej ilości *wolnych najemników*, wpływał hamująco na rozwój rękodzielnictwa i przemysłu. Jedyną warstwą zasilającą ten rynek była drobna szlachta, ten jednak element posiadał feodalne przywileje, dające mu możność zajmowania stanowisk urzędniczych, wojskowych i t. p., nie wpływał na rynek pracy.

Jeżeli magnaci polscy w drugiej połowie XVIII w. usiłowali stworzyć przemysł, opierając go na pracy niewolniczo-pańszczyźnianej, to nie tylko dlatego, że Tyzenhaus i towarzysze nie znali się na ekonomii, nie tylko dlatego, że pańszczyźniak był tani — ale również dlatego, że na innej podstawie oprzeć go nie było można, bo innego robotnika nie było. *Gospodarcze i społeczne położenie chłopa stanowiło podstawowy czynnik gospodarczego zacofania Polski.* Chłop pozbawiony wolności i przykuty do ziemi, chłop bezrolny nie mogący dowolnie sprzedawać swojej siły roboczej, chłop wysysany nad miarę ciężarami i przede wszystkim nie posiadający „niezaprzeczonego" *prawa do prywatnej własności* — ten chłop nie mógł podlegać kapitalistycznej eksploatacji, nie stanowił *rynku wewnętrznego*.

Na przestrzeni trzech wieków od XVI do XVIII w przemianach gospodarczych Polski wyodrębnić należy dwa procesy: postępowy — przechodzenie do gospodarki folwarcznej i wsteczny — stałe zmniejszanie się udziału chłopów w wymianie wewnętrznej, obieg pieniądza w nieznacznym tylko stopniu obejmował chłopstwo. Wieś coraz bardziej stawała się eksploatacyjnym monopolem dziedzica. Jemu sprzedawał chłop „z wolnej ręki" produkty swego gospodarstwa (po cenach ustalonych), nie oglądając zresztą za to pieniędzy — zapłatę otrzymywał w naturze w postaci wódki, soli, czy tytoniu. Tak samo „opłacał" dziedzic należności za przymusowe najmy.

Wynikiem tego stanu był również stały, poczynając od XVI w. upadek rolnictwa, stałe kurczenie się wywozu zboża. Toteż kiedy w drugiej połowie XVIII w. stanęła szlachta wobec katastrofalnego

zmniejszenia się swoich dochodów, nie mogła nie dostrzec, że wszelka reforma gospodarki rolnej musi natknąć się na pańszczyznę, jako zasadniczą przeszkodę. Folwarczna gospodarka pańszczyźniana, t. zn. uprawianie przez chłopa pod przymusem jego narzędziami i sprzężajem — była gospodarką rabunkową, mało wydajną, wyjaławiającą ziemię i zmniejszającą systematycznie jej wydajność. Podniesienie wydajności należało rozpocząć od wprowadzenia przez folwark własnych (lepszych) narzędzi i stopniowego przechodzenia do pracy własnej służby folwarcznej (bezrolnej), tylko dodatkowo korzystając z pracy pańszczyźnianej. Ewolucja w tym kierunku istotnie dokonywała się w XVIII w., ale obejmowała tylko niektóre okolice zachodnie i środkowe i to tylko nieliczne, bogatsze i lepiej zagospodarowane folwarki.

W tym właśnie punkcie reformatorzy szlacheccy szli po linii reform burżuazyjnych. I tym i tamtym szło o zmianę form pańszczyźnianego wyzysku, stopniową zamianę pańszczyzny na czynsz, oraz o stworzenie rezerwowej armii robotników przez częściowe uwalnianie chłopa. W tym kierunku zmierzał np. projekt Andrzeja Zamoyskiego, proponujący, aby trzeci syn chłopa miał prawo porzucić rolę, aby jeden chłop mógł co roku ze wsi wychodzić, aby zbiegłego chłopa można było szukać tylko przez rok i t. d. Projekt Zamoyskiego, mimo iż nie naruszał pańszczyzny ani poddaństwa i był o wiele bardziej umiarkowany, niż prawodawstwo austryjackie nawet z XVII i początków XVIII w., wywołał gwałtowną burzę w sejmie z 1780 r. „Nie chciano dopuścić do odczytania go, domagano się spalenia go na stosie, i pomimo poparcia jaki miał u króla odrzucono go na zawsze i na żadnym Sejmie aby nie był wskrzeszany, mieć chcemy" *). Wyjaśnić należy, że popularna bardzo w tym okresie sprawa zamiany pańszczyzny na czynsz, nie dążyła bynajmniej do polepszenia doli chłopa — przeciwnie szło tu o wydatniejsze obciążenie go wobec małej wydajności pracy pańszczyźnianej. Zresztą oczynszowanie nie wiele zmieniało istniejące stosunki, ponieważ nawet w sporadycznych wypadkach zamiany przez magnatów pańszczyzny na czynsz zostawiano najmy przymusowe.

Nieco lepiej przedstawiała się sprawa chłopów w dobrach narodowych i duchownych. W dobrach narodowych umowy między dzierżawcą a chłopami formalnie kontrolowane były przez rząd, oraz chłop podlegał sądowi państwowemu (sądy referendarskie). Zaznaczyć jednak należy, że stałe zwiększanie się ciężarów chłopskich w dobrach prywatnych musiało odbić się i w dobrach narodowych. Ze względów ekonomicznych zarówno jak i „moralnych" dążyła szlachta do zrównania warunków. Jednocześnie z walką o reformę sprawy chłopskiej postępuje pogorszenie warunków w dobrach narodowych, szczytem zaś tych sprzeczności był fakt, że wraz z nieśmiałą próbą ingerencji między chłopa i pana w konstytucji majowej, w r. 1792 wyszła ustawa o sprzedaży królewszczyzn (dóbr narodowych), która uwalniała sprzedane dobra od sądów referendarskich, skazując tym resztę chłopów na całkowitą niewolę. Spowodowało to posunięcie całkowita pustka w skarbie, który chciano zapełnić sprzedażą królewszczyzn. Wydanie chłopów na nieograniczony wyzysk miało stanowić zachętę do kupna.

Tak polityczna słabość rządu czyniła bezowocnymi wszystkie usiłowania pokonania feodalnego decentralizmu, nie pozwoliła mu na odegranie roli „rozjemcy" między walczącymi klasami. Słabość finansowa oddawała władzę centralną całkowicie w ręce feodalnej reakcji. Jedno wypływało z drugiego i jedno drugie umacniało.

W. K. Bieńkowski

*) *Wł. Grabski:* „Społeczne gosp. agrar." 225, 211 i nast.

O konstytucji stalinowskiej

Nowa konstytucja sowiecka długo jeszcze pozostanie przedmiotem rozważań publicystów różnych krajów. Konstytucji tej poświęcił docent Uniwersytetu Wileńskiego dr. Wiktor Sukiennicki swą pracę p. t. „Ustrój radziecki a konstytucja Stalinowska" (w kwietniowym zeszycie „Ruchu Prawniczego"). Praca to świetnie udokumentowana i wybitnie objektywna.

Dr. W. Sukiennicki rozpatruje konstytucję sowiecką w świetle ewolucji sowieckiego prawa publicznego, porównując ją z teoriami Lenina w dziedzinie prawa publicznego i z wprowadzonym przez twórcę bolszewizmu ustrojem państwowym. Omówiwszy genezę „rad" i stosunek poszczególnych partyj rosyjskich do „sowietów" dr. Sukiennicki podkreśla kardynalną zmianę, jaka po wybuchu rewolucji w Rosji w r. 1917 zaszła w poglądach Lenina na państwo i poszczególne jego formy. Wskutek tej ewolucji Lenin stał się krańcowym przeciwnikiem parlamentaryzmu i biurokracji a zarazem zwolennikiem teorii t. zw. odumierania czyli stopniowego zaniku państwa. Nie wchodząc w szczegóły, należy jednakże nadmienić, iż ten arcybiurokratyzm Lenina nie miał nic wspólnego z walką z t. zw. przerostami biurokratyzmu, lecz był zasadniczą negacją biurokracji jako osobnej warstwy społecznej, której funkcją i specjalnością jest wyłączne zajmowanie się sprawami administracyjno-publicznymi.

Właśnie ten podstawowy i zasadniczy antyparlamentaryzm i antydemokratyzm doprowadziły Lenina do proklamowania w r. 1917 nowego ustroju państwowego, ustroju radzieckiego. System rad (sowietów) był dla Lenina nie tylko środkiem zgniecenia kontrrewolucji i ugruntowania zdobyczy politycznych i socjalnych oraz władzy warstw pracujących, lecz miał stanowić nową formę państwowości, nawiązującą do tendencji Komuny Paryskiej. Leninowi chodziło o stworzenie takich form ustrojowych, przy których masy ludowe mogłyby wykazać swą twórczą inicjatywę w dziele rządzenia państwem. Miało to być państwo klasowe (przynajmniej w okresie przejściowym), na nową modłę demokratyczne (dla proletariuszy miast i wsi) i na nową modłę dyktatorskie (przeciwko burżuazji). Na wszystkich szczeblach administracji publicznej rady miały być bezpośrednią reprezentacją wyłącznie mas pracują-

cych, bez odrywania się wybranych delegatów od ich wyborców, którzy mieli trzymać delegatów pod swą stałą kontrolą. System radziecki miał w zasadzie obywać się bez specjalnego aparatu wykonawczego, t. j. bez zawodowej biurokracji. Jedynie w początkowym okresie miała być biurokracja zachowana jako personel pomocniczy, znajdujący się pod ścisłą kontrolą rad i opłacany nie wyżej od normalnej płacy dobrego robotnika.

W miarę coraz większego wciągania mas do bezpośredniego zarządu państwa, gdy, jak pisał Lenin, „każda kucharka nauczy się rządzić państwem", nawet ta zredukowana do minimum biurokracja miała zniknąć. Podstawową jednostką systemu były rady miejskie i wiejskie, które w drodze t. zw. centralizmu demokratycznego miały się łączyć w olbrzymią federację. Jednocześnie system ten usuwał charakterystyczną dla parlamentaryzmu zasadę podziału władzy wedle funkcji. Zarazem ustrój radziecki miał być dynamiczny, odznaczać się giętkością niezbędną dla stałego dostosowywania nowych form ustrojowych do wymogów życia. W celu możliwie rychłego usunięcia resztek biurokracji wysunął Lenin między innymi zasadę „socsowmiestitielstwa", t. j. łączenia przez najszersze masy pracy wytwórczej z pracą w urzędach państwowych, co miało dać możność wszystkim pracującym nabycia, przyswojenia sobie techniki państwowej i ujawniania rewolucyjnej inicjatywy w tej dziedzinie.

Cała ta koncepcja była owiana duchem anarchizmu i romantyki rewolucyjnej.

Wprowadzony przez Lenina ustrój radziecki wykazał rychło poważne braki, które należało usunąć. Biorąc pod uwagę wrogie okrążenie państw kapitalistycznych, interwencję tychże państw oraz wojnę, a w szczególności wojnę domową na kilku frontach, łatwo zrozumieć, iż ewolucja ustroju leninowskiego nie mogła odbywać się w warunkach normalnych i dla ustroju tego przychylnych. Ponadto bardzo prędko okazało się, iż słabością tego ustroju jest właśnie to, co ułatwiło Leninowi zdobycie władzy, mianowicie narastająca fala anarchii. Fali tej nie nie można było odwrócić z dnia na dzień, instynkt klasowy proletariatu, w którym Lenin pokładał tak wielką nadzieję, istniał jedynie wśród elity proletariackiej, natomiast masa — w gruncie rzeczy zdeklasowana w znacznej mierze — nadal ujawniał skłonność ku tendencjom anarchicznym. Już przez sam fakt wrogiego okrążenia i konieczności prowadzenia wojen, musiał Lenin zrezygnować z tak kardynalnych dla jego koncepcji postulatów, jak wybieralność władz w armii i zrównanie praw wszystkich wojskowych. Twarda rzeczywistość zmusiła Lenina do przywrócenia stałej armii i uczynienia z niej stałego, centralistycznie zorganizowanego ramienia zbrojnego rządu radzieckiego — z zachowaniem a raczej z odrodzeniem hierarchii, autorytetu wyższego kierownictwa i t. p. Obok stałej armii zostały wprowadzone specjalne instytucje i oddziały dla walki z kontrrewolucją i t. p., a ponadto również w administracji ogólnej musiał Lenin wzmocnić czynnik autorytetu i centralizacji, co spowodowało, iż rady lokalne zwłaszcza wiejskie bardzo prędko utraciły swe prerogatywy, wszelkie zaś władze lokalne były faktycznie wyznaczane prze zwładzę centralną. Powstały wszelkie rodzaju „biurokratyczne zniekształcenia", z którymi Lenin wprawdzie walczył, lecz musiał ulec wobec twardych konieczności życiowych. Nie tylko wszelkie próby t. zw. ożywiania rad w warunkach sowieckich okazały się bezskuteczne, ale po śmierci Lenina t. zw. demokracja proletariacka poczęła coraz bardziej zanikać na rzecz centralizmu i wszechwładzy słynnego „aparatu" centralistycznego partii, który się wzmagał w toku walki Stalina z innymi członkami Politbiura, doprowadzając wreszcie do swoistego cezaryzmu stalinowskiego.

Omawiając podstawowe cechy konstytucji stalinowskiej, autor podkreśla, iż konstytucja ta odpowiada dążeniu Stalina do stabilizacji form ustrojowych, do usztywnienia prawa, do sprecyzowania i podziału poszczególnych funkcyj państwowych. Jednocześnie wzmacnia konstytucja stalinowska elementy centralistyczne. Konstytucja ta sankcjonuje zarazem nowy stosunek pomiędzy różnymi sowieckimi grupami społecznymi, znosząc uprzywilejowanie proletariatu miejskiego przez zrównanie wsi w prawach z miastem, zachowując przy tym system monopartii, system dyktatury, hegemonii partii komunistycznej. Co do oświadczeń publicystów sowieckich, iż konstytucja stalinowska pod względem demokratyzmu „przewyższa wszelkie inne konstytucje demokratyczne" — p. dr. Sukiennicki zachowuje zupełnie uzasadniony sceptyzm.

Poruszając kwestię stosunku pomiędzy leninowskim ustrojem radzieckim a konstytucją stalinowską, dr. Sukiennicki wyjaśnia, iż ta ostatnia jest zaprzeczeniem podstawowych idei Lenina w dziedzine prawa publicznego, co nie jest pozbawione pewnej dozy pikanterii w okresie, gdy stalinowcy w słynnych procesach pokazowych swym przeciwnikom zarzucają właśnie wszelkiego rodzaju odchylenia i nawet chociażby najmniejsze i odległe w czasie rozbieżności z Leninem.

Rzecz jasna, iż ani Stalin, ani główni jego współpracownicy nie przyznają się do istotnych powodów całkowitego zerwania z ustrojem radzieckim Lenina. Swą niezgodę z Leninem próbują oni tłumaczyć przy pomocy różnego rodzaju skomplikowanych wyjaśnień djalektycznych, naciągniętych, nader sztucznych i nie odpowiadających rzeczywistości. Tak np. Mołotow próbował tłumaczyć wprowadzenie nowej konstytucji faktem zakończenia w Sowietach przebudowy społeczno - ekonomicznej, przekształcenia Sowietów w kraj socjalistyczny i nadejścia okresu społeczeństwa bezklasowego, lecz wszystkie te argumenty zgoła nie odpowiadają rzeczywistości.

Praca dr. Sukiennickiego stanowi dużą wartość nie tylko dla ludzi interesujących się ogólnymi teoriami prawa, lecz i dla szerszego ogółu, który chciałby rozumieć to, co się dzieje w związku radzieckim. Praca ta powinnaby ukazać się w oddzielnym wydaniu książkowym.

Wydarzenia i dokumenty

KRECIE KORYTARZE

Polska Agencja Telegraficzna doniosła z Wiednia, że znany tam działacz hitlerowski b. kpt. Leopold w liście, skierowanym do gazety „Echo" odpiera zarzut co do tego, że otrzymał z Niemiec 50.000 szyl. na „wspieranie członków partii".

Kpt. Leopold oświadcza natomiast, że owe pieniądze istotnie nadeszły do Wiednia, ale wziął je „Komitet Pomocy". Wobec tego redakcja „Echa" zapytuje publicznie w imieniu społeczeństwa austriackiego, „z jakich właściwie źródeł niemieckich płyną pieniądze do Austrii na popieranie antypaństwowej działalności narodowych - socjalistów?"

Depesza P. A. T., stwierdzająca działania obcej agentury w Austrii jest tym cenniejsza, że została przemilczana przez naszą hitleryzującą prasę „narodową".

Nacjonalizm, który, zdawałoby się, powinien zamykać się w ramach narodowych — przeobraża się ostatnimi laty w ruch i sprzysiężenie reakcji międzynarodowej.

Źródłem natchnienia, siły i zasobności nowego *inter-nacjonału* stał się hitleryzm.

Potworzyły się sekcje i tajne przedstawicielstwa, które jak polipy usiłują wrosnąć w życie społeczeństw, broniących się przed totalizmem. W Rumunii np. sekcja ta znana już jest dostatecznie ze swoich wystąpień p. n. „Żelaznej Gwardii". Na Węgrzech — partia hrabiego Festetiego, sposobiącego się gwałtownie do roli obersztumowca i pogromcy demokracji, która tam zaczyna dźwigać się na nowo do życia pod rządami parlamentarnymi Daranyi'ego. W Czechosłowacji (będącej azylum dla emigracji niemieckiej) sekcja hitlerowska spełnia podwójną rolę: wewnętrznego wroga, pracującego na zgubę Czech i gnębicielki demokratów niemieckich.

W Polsce, gdzie niektóre odłamy „narodowe" idą na lep hitleryzmu, — ujawnione też zostały i sądownie napiętnowane knowania hitlerowskie i spiski na Górnym Śląsku i na Pomorzu.

Afera kryminalna „Jutra", organu jednego z odłamów O. N. R. odsłoniła pewien szczegół, który niewątpliwie przez sądy będzie pilnie zbadany.

O p. Poecku „Dziennik Poranny" informuje, że był on ostatnio prawą ręką szefa administracji „Jutra". Będąc przed tym zaufanym wspólnikiem znanego aferzysty Olpińskiego, przebywał razem z nim i pracował w podejrzanych imprezach prasowych na terenie Niemiec. Olpiński, popełniwszy w Berlinie jakieś nadużycia, zmuszony był granice Rzeszy opuścić. Poeck jednak pozostał w Berlinie, prowadząc dalej rozpoczętą przez Olpińskiego agencję. W 1934 r. „W czasie pogrzebu króla Aleksandra w Białogrodzie zjawia się Poeck własnym autem, jako persona krzątająca się w otoczeniu gen. Goeringa, reprezentującego Rzeszę na pogrzebie. „Co tam robił p. Poeck — pisze dalej „Dziennik Poranny" i co robił po tym — nie wiemy. Sądzimy jednak, że jego rolę w oenerowskim dzienniku zajmie się prokuratura".

PRZESTĘPCZA KRÓTKA FALA

Osławione „Gestapo" ma nielada robotę: węszyć i podsłuchiwać, kto i czego słucha przez radio, ścigać słowo i myśl na falach eteru. Ostatnio znów policja niemiecka aresztowała 30 osób za zbiorowe słuchanie audycyj, nadawanych przez tajemniczą, nieuchwytną radiostację, pracującą na krótkiej fali 29,8 pod hasłem „Wolność".

PO WYROKU

W *„Dzienniku Ludowym"* czytamy:

„Nie mamy ani możności, ani zamiaru krytykować wyroku, który zapadł na Judkę Chaskielewicza — mordercę wachmistrza Bujaka. Rzeczą sądu i biegłych było zbadanie stopnia poczytalności oskarżonego i wydanie nań wyroku. Sprawa zresztą nie jest zamknięta i znajdzie swój dalszy ciąg w Sądzie Apelacyjnym.

Rzeczą jednak, którą omówić należy, jest użytek, jaki ze sprawy tej i z zapadłego wczoraj wyroku czynią żywioły, trudniące się w Polsce sianiem anarchii i zamętu.

Z okazji mordu w Mińsku Mazowieckim nie tylko miasto to padło ofiarą pogromu, ale także rozpętano wielką agitację antysemicką i szowinistyczną. Najbardziej typowym przykładem, szczytem tej akcji był jeden z ostatnich artykułów pisma „A.B.C.", żądający z powodu sprawy Chaskielewicza usunięcia ze służby wojskowej wszystkich Żydów, oraz wszystkich mniejszości narodowych z armii. W ten sposób „A.B.C." pragnie dosłownie powtórzyć wzory hitlerowskie, zapominając, iż w Niemczech Żydzi stanowili 1 proc. ludności, a w Polsce stanowią 10 proc. W ten sposób więc usunięcie mniejszości narodowych z armii jest żądaniem, które w rezultacie osłabić tylko może siłę obronną państwa.

Wysuwając takie żądanie, „ABC" pragnie uświęcić ostatnie metody brzeskie, metody odpowiedzialności zbiorowej i traktować pragnie wyrok na jednego mordercę jako wyrok na miliony obywateli w Polsce. W ten sposób pragnie się rozniecić z powodu jednego strzału, który padł przed rokiem, prawdziwą wojnę domową Polaków z innymi współobywatelami kraju".

WYNATURZANIE UCZUĆ NARODOWYCH

W *„Dzienniku Poznańskim"* prof. Czesław Znamierowski w artykule p. t. „Humanitaryzm i nacjonalizm" gromi pewien gatunek „patriotów" spekulujących „słowem na Narodzie":

„...Gdzie słychać barbarzyńskie wrzaski walk i burd ulicznych, rozlegają się zawsze i nierozłącznie drogie i najdroższe nam wyrazy „naród" i „ojczyzna". Przychodzi nam też na pamięć, nie bez uczucia zgrozy, na czyich ustach spienionych były te wyrazy przed zabójstwem prezydenta Narutowicza i po jego zgonie.

Żywo pamiętając te rzeczy, nie możemy się dziwić, że ludzie, którzy tyle dziesiątków lat naprzód walczyli o niepodległość, a później ją wysiłkiem ogromnym umacniali, że ludzie ci nie wymawiali często tych słów profanowanych. Jest zresztą jakieś prawo wstydliwości uczuć intymnych i wielkich, które broni je przed spospolitowaniem. Podzielili się tedy ludzie w Polsce na tych, co pracują dla Narodu, i na tych, co słowem spekulują na Narodzie. Niestety, dzięki tej podstępnej taktyce słowa wynaturzały długo uczucia narodowe. I urastać zaczęło niebezpieczeństwo, że uczucia te, z natury swej spoiwem będące najtrwalszym narodu, mogą się stać w Polsce dynamitem, rozsadzającym narodową jedność".

„Trzeba przystąpić do planowej i na daleką metę zakrojonej akcji wychowawczej, któraby uszlachetniła i wysublimowała profanowane wciąż dzisiaj uczucia narodowe i przywróciła im rolę pozytywną i twórczą. Trzeba rehabilitować wyrazy „naród" i „ojczyzna" i nadać im tę treść, jaką w nie wkładali ludzie, którzy dla narodu i ojczyzny składali w ofierze swe życie".

POŻYTECZNA BROSZURA

Nakładem „Polskiej Unii Zgody Narodów" ukazała się broszura p. t. „Polacy o Żydach" *), będąca zbiorem artykułów,

*) Warszawa 1937. Skład główny w „Naszej Księgarni" Zw. Naucz. Pol., Świętokrzyska 18.

drukowanych ostatniemi czasy w różnych czasopismach postępowych.

Na wstępie tego zbioru wydawcy zamieścili słynny wiersz Cypriana Norwida: „Żydowie polscy".

Broszura ta, w której głos zabierają przedstawiciele nauki, literatury, władzy państwowej, duchowieństwa i ludu wiejskiego, ma na celu nie tylko ukazać samo zjawisko antysemityzmu w świetle opinii różnych osobistości i nie tylko udostępnić szerszemu ogółowi poznanie pewnej sumy argumentów, ale także pokazać humanitarną myśl polską, która odgradza się stanowczo od założeń i praktyki antysemityzmu, szukając na innych drogach rozwiązania trudności naszego życia społecznego.

Na treść tej broszury złożyły się prace następujące: „Rasizm" K. R. Żywickiego, „Antysemityzm" Dr. A. Próchnika, „Antysemityzm kulturalny" Leona Kruczkowskiego, „Prawdziwe niebezpieczeństwo antysemityzmu" J. Krawczyńskiej, „Odrzucić pałki" L. Wolskiej, „Przeciw barbarzyństwu" prof. W. Rubczyńskiego, „Konieczność samoobrony i „O los wyższej oświaty w Polsce" prof. T. Kotarbińskiego, „Antysemityzm młodzieży akademickiej" prof. Z. Szymanowskiego, „Wywiad" z prof. St. Czarnowskim, „Wywiad" z prof. J. Szymkiewiczem, „Walczymy o kulturę prawdziwą" J. Markowskiej, „Kim jest twoja matka?" Janiny Strzeleckiej, „Do mego brata Żyda" Wł. Popławskiego, „Mordercy" Wandy Wasilewskiej, „Jak mogę być rasistą" R. Rembowskiego, „Antysemityzm wróg Polski" Kazimiery Muszałówny, „Przemówienie podsekretarza stanu" prof. Józefa Ujejskiego, „Fragment przemówienia" prof. M. Michałowicza, Głosy chłopów i biskupa Grzegorza Chomyszyna. Polonia amerykańska o antysemityźmie.

Artykuły te, wzięte oddzielnie, są wyrazem indywidualnych poglądów ich autorów, — zgromadzone tutaj razem stają się silnym zbiorowym protestem myśli polskiej przeciwko barbaryzowaniu życia polskiego. Jest to ważny dokument ideowy.

NOWA MASKARADA

Umocnienie demokracji we Francji, Anglii i Stanach Zjednoczonych Am. Półn., przesunięcie się Finlandii w stronę zasad demokratycznych, klęska Degrella w Belgii i Musserta w Holandii — wszystko to świadczy, o zahamowaniu początkowego rozpędu totalizmu. Jeszcze rok, dwa lata temu hasła demokracji uważano w obozach totalistycznych za niegodne dyskusji. Dziś, kiedy demokracja wzmaga się na sile, obozy te usiłują zniekształcić jej sens istotny. Tak to jest zawsze: walkę z ideologią nienawistną ułatwia się przez przywłaszczenie jej nazwy i wypaczenie jej treści. Demokracja jest dziś silniejsza, a więc — nowa taktyka totalistów: „to my jesteśmy prawdziwi demokraci"!...

Słusznie pisze *„Dziennik Poranny"* o niebezpieczeństwie, grożącym ofenzywie demokracji:

„W latach zwycięstw totalizmu wpojono w masy kult wodza i brutalnej przemocy, zrodził się masowy kult tych, co biją po twarzy.

W owych latach modne było wypisywanie panegiryków na cześć tych silnych. mocarnych jednostek, co to świat cały mają ratować. Demokracja wróciła ludom wiarę w swe własne siły i poszanowanie godności. Psychoza tych silnych, mocarnych jednostek pryska, jak bańka mydlana.

Wraz z tym zdrowym odruchem demokratycznym — zjawia się jak cień, niebezpieczna moda demokratyczna. Tak, jak jeszcze przed dwoma laty rzeczą modną było mówić o silnym charakterze, silnym człowieku, tak teraz modną rzeczą staje się powoływanie na demokrację. Słyszymy więc o demokracji przy różnorakich okolicznościach, w różnym kontekście...

Ta moda demokratyczna, a raczej moda na podszywanie się pod pojęcie demokracji może być w zarodku unieszkodliwiona tylko zwykłym przypomnieniem, że posiada ona pojęcie oddawna ustalone, że posiada swoją definicję, która pozwala odróżniać ją od wszelkich innych metod rządzenia, jak na przykład od systemu mianowanych z góry urzędników w samorządzie.

Rzecz jasna, w zależności od kraju, wieku i narodu demokracja przybiera stale różne postaci. Między demokracją Stanów Zjednoczonych a demokracją angielską jest wiele odcieni, dzielących je, wiele różnic, nawet ustrojowych. Demokracja francuska różni się jeszcze bardziej od demokracji krajów anglosaskich, zaś demokracja szwajcarska posiada inne znów znamiona.

Atoli te różnice obracają się w ramach wspólnych założeń, jakie tkwią u podstawy każdego rządu demokratycznego, wspólnych znamion, dla których te, a nie inne kraje obejmujemy nazwą demokracji.

Demokracja posiada więc swoją definicję. Jednym z zasadniczych warunków nazwania danego kraju demokratycznym, jest sprawa możności wyrażenia woli narodu przez powszechne i równe wybory z udziałem wszystkich obywateli. Ta swoboda wypowiedzi woli narodu, gwarantowana odpowiednią ordynacją wyborczą stanowi conditio sine qua non wszelkiej demokracji we wszelkiej postaci.

A o tym przy fali powrotnej i modzie współczesnej zapominać nie przystoi".

Jedynym z pouczających przykładów fałszowania zasad demokracji jest artykuł naczelnego redaktora nowoendeckiego „Kuriera Porannego" p. Klaudiudiusza Hrabyka p. t. „Nowa demokracja".

Jaka?

Ano taka, którą właśnie realizuje antyparlamentarny totalizm.

Dawno nie czytało się takiego steku demagogicznych frazesów, jakie ze Lwowa przywiózł p. Hrabyk do Warszawy.

„Kurjer Poranny — organem „prawdziwej demokracji!.... Ciężki dowcip.

O wywodach p. Hrabyka pisze dalej *Dziennik Poranny:*

„Moglibyśmy nie czytać dalszych frazesów o powszechności jednego rytmu, jakim musi iść życie polskie, o dyscyplinie zorganizowanego i świadomego swych celów narodu, hierarchii funkcyj i działania, dynamice życia polskiego, hymnie pracy polskiej, sile woli zbiorowej i t. d. Już wiemy bowiem o co chodzi: nowa demokracja musi zerwać, zdaniem p. Hrabyka, z ustrojem parlamentarno - demokratycznym. Wtedy Polska będzie „bogata, zasobna, sprawiedliwa dla pracowitych i przepojonych troską o Polskę obywateli". To wszystko da nam „prawdziwa demokracja", którą, jak można wywnioskować z wywodów p. Hrabyka, jest klasyczny ustrój autorytatywno - totalistyczny, ustrój w którym, jak to uczy przykład masowych zgromadzeń ludowych w berlińskim „Lustgartenie" pozwala najszerszym masom brać bezpośredni udział w życiu państwa przez podnoszenie ramion i trzykrotne gromkie „Heil!"

„Pan Hrabyk jest tylko niezdolnym wytwórcą falsyfikatów. Występując ze swoją „nową demokracją", która z treścią pojęcia demokracji nie ma nic wspólnego i roztaczając obraz szczęśliwości i bogactwa, jakim ma nas obdarzyć proponowany przez niego falsyfikat, przypomina tak zwaną „fabrykantkę aniołków", która uśmiercając wzięte pod opiekę dzieci, powiększa grono istot nieziemskich, bytujących w wiecznej szczęśliwości w najwyższych regionach.

Falsyfikat demokracji spreparowany przez p. Hrabyka, to falsyfikat wykonany nieudolnie i niezgrabnie, obliczony najwidoczniej na wyjątkową naiwność odbiorców. Ale, jak zaznaczyliśmy, tym bardziej jest charakterystyczny dla tych wszystkich, którzy zmuszeni koniecznością do powrotu do słowa „demokracja" pod jego zasłoną pragnęliby przeinaczyć treść i zniszczyć istotę demokracji".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Stefan Balicki: Ludzie na zakręcie. Powieść. Okładkę projektował J. Borsukiewicz. Poznań 1937. Wydawnictwo Stefana Dippla.

Antoni Kawczyński: Dannemora. Powieść. Okładkę projektował W. Spychalski. Poznań 1937. Wydawnictwo Stefana Dippla.

Tadeusz Łopalewski: Prawo przyjaźni Powieść. Okładkę projektował J. Borsukiewicz. Poznań 1937. Wydawnictwo Stefana Dippla.

Józef Piłsudski: Pisma zbiorowe. Wydanie prac dotychczas drukiem ogłoszonych. Tom III. Warszawa 1937. Instytut Józefa Piłsudskiego.

Norbert Barlicki: Aleksander Dębski. Życie i działalność. (1857 — 1935). Warszawa 1937. Wydawnictwo Stowarzyszenia b. więźniów politycznych.

Maksymilian Boruchowicz: Brzozowski i Malraux. Lwów 1937. Nakładem „Sygnałów".

Zbigniew Uniłowski; Pamiętnik morski. Warszawa 1937. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Patience, Richard i John Abbe: W jedenaście lat dookoła świata. Przekład C. Wieniewskiej. Warszawa 1937. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Juliusz Kaden - Bandrowski: Czarne skrzydła. Lenora. Wydanie III. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1937.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu A. St. R. w Krakowie: Nie możemy się podjąć oceny Pańskiej pracy. Utworów scenicznych nie drukujemy.

Pani O. M. w Tarnopolu: Omawialiśmy już parokrotnie tę sprawę.

Panu J. Z. w Radomiu: List Pana przeodpowie. Wszystkie numery wysłaliśmy kazaliśmy autorowi, który osobiście Panu

Pani W. C. w Buczaczu: Chodziło o środowisko gimnazjalne w jednym z miast b. Kongresówki. Książka jest w handlu księgarskim. Żądane numery wysłaliśmy.

Panu B. K. w Łucku: Artykuł Pana nie będzie drukowany.

Panu W. A. w Warszawie: Za list bardzo dziękujemy. Numery wysłaliśmy.

Pani J. K. w Krakowie: W n-rach 7 i 9-tym „Epoki".

Panu L. M. w Łodzi: Wysłaliśmy. Dziękujemy.

Panu Al. G. w Kaliszu. Weźmiemy pod uwagę.

Panu W. K. w Warszawie. „Epoka" ukazuje się z datą 5-go i 20 dnia każdego miesiąca.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na III-ci kwartał 1937 r. Abonentów, którzy nie wpłacili prenumeraty za kwartał ubiegły, prosimy o bezzwłoczne uregulowanie należności, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie im pisma.

Do numeru niniejszego dołącza się przekazy P. K. O.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 3845 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.